

* * *

Krzysztof Iwanek, Adam Burakowski, *Indie: Od kolonii do mocarstwa, 1857–2013*, Warszawa 2013, Wydawnictwo Naukowe PWN, ss. 502

W języku polskim brakowało dotąd kompetentnego i szerokiego ujęcia dziejów Indii Brytyjskich, a także republiki indyjskiej. *Historia Indii* Jana Kieniewicza¹ i *Nowa historia Indii* Stanleya Wolperta² starały się ująć w jednym tomie całość dziejów subkontynentu, co wymuszało skrótowość, niedawno zaś przełożone *Indie* Durga Dasa³ najlepiej charakteryzuje słowo „powierzchowne”. Z tym większym uznaniem należy powitać nową, dotyczącą okresu od przejścia Indii pod władzę Korony brytyjskiej po czasy współczesne, pracę dwóch warszawskich badaczy — politologa (Adam Burakowski) i indologa (Krzysztof Iwanek). Podzielili oni między siebie materiał: pierwszy wziął okres kolonialny (napisał także wstęp omawiający skrótowo czasy rządów Kompanii Wschodnioindyjskiej), drugi historię Indii niepodległych. Jeśli w obrębie dzieła istnieją jakieś problemy z rozplanowaniem treści, to wynikają właśnie ze sztywności tego podziału: na przykład charakterystyka (bardzo kompetentna) systemu kastowego pojawia się dopiero na stronach 341–344, choć przydałaby się znacznie wcześniej — ale wtedy trzeba by wkomponować fragment tekstu Iwanka w wywody Burakowskiego.

Mniejsza o to. I tak warto przeczytać całość — książka jest zarówno wartościowym uzupełnieniem wiedzy dla badacza nowożytnych dziejów Indii (nie żeby było ich w Polsce więcej niż palców u rąk), jak i cennym wprowadzeniem dla laika; nie bez kozery zatrudnienie znalazło przy niej dwóch recenzentów i piętnaścioro konsultantów. Na uwagę zasługuje zwłaszcza dość umiejętne wybrnięcie z trudności, jakich nastroczała konieczność ujednoczenia (albo stworzenia) odpowiedniej terminologii i zapisu nazwisk w sytuacji, gdy pisownia angielska, tradycyjny zapis polski i transkrypcja z języka oryginalnego potrafią różnić się od siebie jak dzień od nocy.

Podano na przykład wymowę wszystkich imion i nazw geograficznych, a problemy z zapisem tych ostatnich rozwiązano przy pierwszym użyciu polskiej wersji, podając także angielską. Jeśli pojawia się cytaty w którymś z języków indyjskich, to zawsze w dwóch wersjach — transkrypcja z tego języka plus wymowa (i, rzecz jasna, polskie tłumaczenie). Znakomicie! Znaczny wysiłek, który niewątpliwie trzeba było w tym celu włożyć, sownie się opłacił. Jestem nawet w stanie wybaczyć podjętą prawdopodobnie ze względu na czytelność książki decyzję używania (poza najbardziej znanymi miastami, jak Kalkuta czy Bombaj) nazw współczesnych, a nie tych z okresu kolonialnego — choć czasem efekty tego bywają rażące. Na przykład przy opisie podziału Bengalu w latach 1905–1911 czytamy o umieszczeniu części urzędów „w Ćottogramu” (s. 98), choć nazwę „Ćottogram” wymyślono dopiero w niepodległym Bangladeszu, a do tego powyższa odmiana jest koszmarkiem w stylu „Donaldu Tusku”. Na s. 167 znajdują się z kolei słowa: „Na sesji [Ligi Muzułmańskiej w 1940 r.] przyjęto rezolucję ustanawiającą utworzenie Pakistanu jako główny cel dalszej działalności. Decyzja ta, nazwana Rezolucją z Lahaur lub Rezolucją o Pakistanie, była ostatecznym zerwaniem z polityką jedności muzułmańsko-hinduskiej” (s. 167, w książce obie nazwy podano też w wersjach urdujęzycznych). W 1940 r. to miasto nazywało się jednak

¹ J. Kieniewicz, *Historia Indii*, Wrocław 2003 (ostatnie z trzech wydań).

² S. Wolpert, *Nowa historia Indii*, tł. E. Kowalewska, Warszawa 2010.

³ D. Das, *Indie: Od Curzona do Nehru i później*, tł. M. Jędrzejewska, Warszawa 2009.

Lahore, a nazwa „Lahaur” używana jest w urdu, którego nie znała większość obecnych na sesji. Stylistyczne zawijasy pierwszego zdania pomijam, nie można jednak przemilczeć w tym miejscu faktu, że o Pakistanie w ogóle nie było w owej rezolucji mowy: stwierdzano tylko, że indyjscy muzułmanie pragną, by na terenach zamieszkałych w większości przez nich ukształtować *autonomous states* (podaję określenie oryginalne, bo ze względu na wieloznaczność słowa *state* niekoniecznie musiało chodzić o niepodległe państwa).

Zapis nazw i nazwisk jest w każdym razie konsekwentny, co niestety oznacza również, że jeśli do książki zakradnie się jakiś błąd, z żelazną konsekwencją powiela się go wszędzie. Wielką Brytanią nigdy nie rządził premier nazwiskiem „George” — Lloyd George to dwuczłonowe nazwisko. Wicekról Victor Linlithgow zamienił się tu w „Linlightgowa”. Autorom wydaje się, że nazwisko pierwszego prezydenta Bangladeszu, Sheikhha Mujibura Rahmana, brzmi „Rahman”. Przyszłoby ze wstydem, że sam tak pisałem w swoim pierwszym artykule o Bangladeszu, ale błędnie, bo to część imienia. Nazwiskiem w rozumieniu (z grubsza) europejskim jest tu „Sheikh”, ale Indus czy Banglijczyk chcący skrócić nazwać tę postać nie użyje innej formy niż „Mujib”. Z podobnego nieporozumienia wziął się w indeksie „Ul-Haq Mohammed Zia” (dyktator Pakistanu w latach 1978–1988) choć „Mohammed” i „Zia ul-Haq” to dwa imiona, w tym jedno dwuczłonowe; nie mam też pojęcia, co „Mustafa Kemal, zwany Atatürk” robi tam pod literą M. Z haseł indeksu najbardziej rozbawił mnie jednak — zamieszczony pomiędzy „Szachdżahan, cesarz mogolski” a „Szymanowski, Karol” — „Szalony Mułła, właśc. Hazrat Sadullah Khan”.

Na kartach książki pojawia się po wielokroć „Subhash Chandra Bose”; na upartej można i tak transkrybować to imię z bengali, ale sam zainteresowany, jak też cała bodaj literatura naukowa, używał zawsze formy „Subhas”⁴. Z jego nazwiskiem też jest problem. Wytyczne w sprawie podobnych przypadków w *Słowniku języka polskiego* sugerują, by odmieniać je „Bosego, Bosemu”, ale zważywszy, że wymawia się je „bosz”, do obrony jest też wersja „Bose’a, Bose’owi”. Na pewno jednak nie wolno traktować go jako nieodmiennego, jak to czynią Burakowski z Iwankiem, uzyskując potworki typu „Indyjska Armia Narodowa Bose”. Pozostając przy kwestiach pokrewnych: nie rozumiem, dlaczego jedną z kategorii posiadaczy ziemskich określa się tu *taluqdar*, skoro zarówno utrwalona pisownia w języku angielskim, jak i polska wymowa brzmi *talukdar*.

Jeszcze w sprawie terminologii: po polsku nie ma zgrabnego przekładu określenia *Lieutenant-Governor*, ale z całą pewnością nie wolno tego tłumaczyć „Lejtnant Gubernator”. *Lieutenant*, trochę podobnie jak polskie „adiutant”, ma znaczenie znacznie szersze niż tylko wojskowe; zarówno w oficjalnej terminologii, jak i w mowie potocznej utrwaliło się jako miano kogoś postawionego szczebel niżej od numeru jeden na drabinie władzy (np. *Lieutenant-Commander* to pierwszy oficer na statku). W tym wypadku chodzi o to, że *Lieutenant-Governor* jako zarządca prowincji był w hierarchii niżej niż odpowiedzialny za całe Indie *Governor General*; zwykły „gubernator” by tu wystarczył. Przekład nazwy *bhadralok* (powstała w XIX w. warstwa bogatych hinduistów bengalskich) jako „szczęśni ludzie” jest równie niefortunny: sanskryckie *bhadra* rzeczywiście może być używane na określenie kogoś, komu się darzy, ale może też oznaczać wiele innych rzeczy, a w tym kontekście — szlachetność i bycie cywilizowanym (posiadającym wykształcenie). Ogólnie rzecz biorąc, pojęcie to miało w zamyśle podobne konotacje (i zresztą znaczenie) co angielskie *gentry*.

⁴ Tekst Rezolucji Lahorskiej dostępny jest w: *Foundations of Pakistan: All-India Muslim League Documents, 1906–1947*, t. II: 1924–1947, red. S. S. Pirzada, Karachi 1970, s. 348.

⁵ Polityk ten w ogóle ma pecha. Ostatnio Jakub Polit w nowej książce (*Gorzki triumf. Wojna chińsko-japońska 1937–1945*, Kraków 2013) skraca go „Chandra Bose” choć „Chandra” to drugie imię, a nie nazwisko.

Nie tyle w ramach przygany dla autorów, ile sugestii dla ich następców mam przy okazji pewną uwagę językową. Apeluję mianowicie o odłożenie na półkę form „Amrytsar” i „Kryszna”, które, jak „ryksza” i „Rygweda” są dziedzictwem okresu, gdy zmiękzone „r” nie miało jeszcze w polszczyźnie prawa obywatelstwa, i w żywym języku zanikają coraz szybciej (choć „Kryszny” uważa za stosowne bronić jeszcze część orientalistów i *Słownik języka polskiego*).

Omówiwszy kwestie językowe, przejdźmy do historycznych. Część pierwsza, dotycząca okresu kolonialnego, jest — choć w ogólnym rozrachunku niezła — wyraźnie gorsza od drugiej, jeśli chodzi o liczbę błędów, przeinaczeń czy wątpliwych sądów.

Według Burakowskiego „Z perspektywy 150 lat i badań pokoleń historyków widać, że koronacja [królowej Wiktorii na cesarżową Indii] była aktem co najmniej dwuznacznym i niekoniecznie świadczyła o sile imperium, lecz współcześni tego nie wiedzieli” (s. 68). Autor nie tłumaczy jednak, dlaczego dwuznacznym i dlaczego niekoniecznie, więc pewnie chodziło o to, żeby wykorzystać nadarzającą się okazję i zaznaczyć dystans do okropnego dyskursu kolonialnego. Wywód zawiera jednak kilka miejsc, w których ten dystans lepiej by się przydał: na przykład omawiając wydarzenia pierwszej wojny afgańskiej z 1842 r. Burakowski wywodzi, że „we wsi Gandamak doszło do masakry ok. 16 tysięcy Brytyjczyków” (s. 31). W rzeczywistości a) żołnierze ci stracili życie nie w jednej wsi, lecz na całym szlaku odwrotnym z Kabulu (w ostatniej bitwie, na przełęczu koło Gandamaku, walczyło ich już tylko kilkudziesięciu), b) owa brytyjska armia w większości składała się z oddziałów rekrutowanych wśród Indusów: tylko jeden pułk i pewna liczba towarzyszących mu cywilów oraz taborytów to Brytyjczycy. Podobnie słynny major doktor William Brydon był jedynym ocalałym z rzezi — jak pisze Burakowski — tylko w wypadku, gdyby ograniczyć się do białych; po nim do Dżalalabadu dotarło jeszcze kilkunastu induskich żołnierzy (pewna część armii przeżyła poza tym w charakterze jeńców). A skoro o Afganistanie: na s. 95 mamy informację, że w roku 1907 „Moskwa uznała” ów kraj za strefę wpływów brytyjskich — oczywiście nie Moskwa, lecz Petersburg.

Słusznie zauważając, że pod koniec XIX w. i później „wielu braminów z Maharasztry skłaniało się w stronę radykalizmu”, autor diagnozuje: „Przyczyną takich nastrojów wśród najwyższych kast była m.in. polityka Brytyjczyków, którzy doprowadzili do pauperyzacji tej klasy społecznej” (s. 89). I to wszystko? A może należałoby jednak napisać coś o tych „in.” (np. o wpływie na omawianą grupę tradycji marackich), nie tylko o perfidnym Albionie? Tego ostatniego Burakowski tak nie lubi, że choć na s. 69 słusznie podkreśla, iż „nie istniało coś takiego jak naród indyjski”, zapomina o tym, by w kontekście podziału Bengalu w 1905 r. ze smutkiem konstatować, iż „władze odniosły pewne sukcesy w rozbijaniu jedności narodowej w Bengalu i na terenie całych Indii” (s. 102).

O działaniach Wielkiej Brytanii w I wojnie światowej (na którą wysłano liczne kontyngenty induskie) czytamy: „Afryka Wschodnia była mało interesującym terenem zmagania z aspirującymi do rangi mocarstwa kolonialnego Niemcami, zwycięstwa się spodziewano, choć nie przyszło tak łatwo, jak można było tego oczekiwać” (s. 112). W zasadzie można się spierać, czy przyszło w ogóle, zważywszy, że oddziały gen. Lettowa–Vorbecka odnosiły sukcesy do końca.

Na stronach 161–162 czytamy o głośnym konflikcie politycznym w pierwszej połowie lat trzydziestych dotyczącym tzw. niedotykalnych zwanych też *dalitami* („uciemiężonymi”), czyli członków najniższych kast, w którym jabłko niezgody stanowiło ich położenie w proponowanym przez Brytyjczyków systemie wyborczym; *dalit* Bhimrao Ramji Ambedkar żądał, by jego społeczności przyznać oddzielną kurię wyborczą, Gandhi jako reprezentant Kongresu był stanowczo przeciw. Opis i ocena racji obu stron w tym sporze nie budzą zastrzeżeń, natomiast całkowicie zmyślane jest twierdzenie, że po rozmowach obu polityków „ostatecznie

Mahatma zaakceptował tezy Ambedkara”. Było inaczej: Gandhi do śmierci ostro zwalczał jego postulaty i poglądy, natomiast w 1934 r. obaj wymienieni podpisali tak zwany pakt z Puna (*Poona Pact*), w zamian za rezygnację z oddzielnego głosowania *dalitów* gwarantujący im dwa razy więcej mandatów parlamentarnych, niż przewidywał to projekt brytyjski — ale w ramach puli zarezerwowanej dla hinduistów. Ambedkar zresztą podpisał ten pakt podobno dlatego, że obawiał się wybuchu przemocy przeciw swej społeczności, gdyby Gandhi w proteście zagłodził się na śmierć. W każdym razie obaj spotkali się z powodu tego kompromisu z ostrą krytyką. Ambedkar zaś rozczarował się Kongresem do tego stopnia, że w kluczowych latach 1945–1947 ściśle współpracował z Ligą Muzułmańską, o czym Burakowski w ogóle nie wspomina.

O rządach Kongresu nad większością prowincji Indii Brytyjskich sprawowanych w latach 1937–1939 w ramach tzw. diarchii Burakowski pisze (s. 163, 164), iż ich bilans był niezmiernie pozytywny, a innym partiom zostawała tylko niekonstruktywna krytyka. Było inaczej: poczucie, że muzułmanie nie mogą liczyć na równe traktowanie pod rządami Kongresu, zapewniło opozycyjnej Lidze Muzułmańskiej przyływ członków idący w setki tysięcy rocznie, złożyło do niej akces także mocno dotąd sceptyczni wobec przywództwa Muhammada Alego Jinnaha premierzy Pendżabu i Bengalu (Sikander Hayat Khan i Fazlul Huq). Skoro w książce wspomina się o tym, że kochanką lorda Curzona była Elinor Glyn (nic a nic niemająca wspólnego z Indianami), warto byłoby dodać choć słowo o Komitecie Pirpurskim, dokumentującym krzywdy — prawdziwe i wymaginowane — muzułmanów pod rządami Kongresu w owych latach, którego raport znalazł w Indiach gigantyczny oddźwięk⁶.

O wspomnianym już Bosem — podczas wojny wodzu (*Netaji*) współpracującej z Japończykami Indyjskiej Armii Narodowej — Burakowski pisze, iż „prawdopodobnie nie wiedział [...] o zbrodniach popełnianych przez armię japońską na Azjatakach” (s. 170). Kwestia prawdopodobieństwa domaga się osobnych badań, na pewno jednak otrzymywał on informacje, jak armia cesarska poczyna sobie na Andamanach, teoretycznie podległych mu jako część „Wolnych Indii”⁷.

Nie całkiem wiarygodny jest opis przebiegu konferencji w Simli w roku 1946 (s. 171) — np. pomysł podziału Indii na trzy „grupy” (A, B i C) wysunięto dopiero po jej zerwaniu, początkowo proponowano dwie. Na tej samej stronie czytamy, że w tzw. Wielkiej Rzezi Kalkuckiej (zamieszki pomiędzy hinduistami a muzułmanami, trwające z grubsza pomiędzy 16 a 18 VIII 1946 r.) zginęło około 20 tys. ludzi; w rzeczywistości ofiar było mniej więcej czterokrotnie mniej. Jej genezę też przedstawiono fałszywie: według Burakowskiego Jinnah wyznaczył na 16 sierpnia tzw. Dzień Akcji Bezpośredniej — protest przeciw odsuwaniu jego partii od władzy — „w odpowiedzi” na ogłoszony 8 sierpnia plan utworzenia indyjskiego rządu z udziałem Partii Kongresu, a bez Ligi. W rzeczywistości do obchodzenia Dnia Akcji Bezpośredniej wezwano wcześniej — na zakończenie obrad Ligi w dniach 27–29 lipca. Wiem, łatwo mi mówić — to temat mojego (powstającego) doktoratu, więc tego typu błędy wyłapuję machinalnie. Ile jeszcze podobnych drobnych przeinaczeń — będących pewnie efektem pospiesznego przepisywania z nie zawsze wiarygodnych opracowań o charakterze ogólnym — skrywa tekst Burakowskiego?

Strona 172 przynosi ocenę, że ostatni wicekról Indii Louis Mountbatten, mający zdekolonizować ten kraj, „podszedł do zagadnienia profesjonalnie”. Hm... Szybko i sprawnie — na

⁶ Liczne ówczesne relacje na ten temat można znaleźć w dwutomowym zbiorze *Muslim Under Congress Rule 1937–1939: A Documentary Record*, red. K. K. Aziz, Islamabad 1978.

⁷ Na ten temat zob. T. R. Sareen, *Sharing the Blame: Subhas Chandra Bose and the Japanese Occupation of the Andamans, 1942–45*, Delhi 2002, s. 101–160 (zwł. s. 101–115).

pewno. Jednak przysłówek „profesjonalnie” może sugerować, że wiedział, co robi, a nie jest to wniosek łatwy do obrony po lekturze dokumentów.

W ogóle tekst Burakowskiego często przynosi sformułowania teoretycznie poprawne, ale dla zwykłego zjadacza chleba mylące. Np. na s. 168, gdy opisuje aresztowanie przywódców Kongresu w 1942 r.: „Liga Muzułmańska słusznie dostrzegła w tej sytuacji szansę. Działacze AIML [czyli Ligi] przejęli władzę w Sindhu, NWFP, Asamie i Bengalu” co mogłoby sugerować, że we wszystkich tych prowincjach rządził przedtem Kongres. Albo w rozdziale na temat podziału Indii: „Aby powstrzymać narastającą falę przemocy, Gandhi udał się do Bengalu, gdzie wędrował, głównie po prowincji, organizując wiece i nawołując do zaprzestania rzezi” (s. 174). W zasadzie to prawda, tylko że po prowincji wędrował pomiędzy listopadem 1946 r. a marcem 1947 r., kiedy podział nie był jeszcze rzeczą pewną, natomiast sam okres podziału spędził w Kalkucie. Albo przy wzmiance na temat tzw. Grand Trunk Road, odnowionej przez Brytyjczyków drogi łączącej Bengal z północno-zachodnimi Indiami, która, jak pisze Burakowski, powstała „w III w. p.n.e.” (s. 35): owszem, tyle że w starożytności docierała na wschód zaledwie do Pataliputry (obecnie Patna w Biharze), skąd do Bengalu kawał drogi... Albo gdy kończy omawianie pierwszej wojny afgańskiej: „Wobec zaistniałych faktów podjęto decyzję o całkowitej ewakuacji Brytyjczyków z Afganistanu. Oddziały stacjonujące w Dżalalabadzie i Kandaharze wycofały się w kierunku Przełęczu Chajberskiej, będącej punktem granicznym z Indiami [będącej, ale nie w 1843 r.], paląc po drodze, w ramach odwetu, bazar w Kabulu” (s. 31). Stwierdzenie „po drodze” ktoś może wziąć literalnie (choć to tylko metafora, zresztą średnio udana), wyciągając z tego wniosek, że trasa odwrotu wojsk z Dżalalabadu i Kandaharu na wschód prowadziła przez Kabul...

W przypadku niektórych stwierdzeń trudno wreszcie zrozumieć, co autor ma na myśli. Bo co to znaczy, iż kryzys gospodarczy w USA i Europie w roku 1873 wywołało „dostosowanie gospodarki po otwarciu Kanału Sueskiego” (s. 65, 66). Skąd ocena, iż w 1945 r. „Wielka Brytania była wyczerpana wojną. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że bez pomocy Amerykanów i Sowietów nie mają żadnych szans nie tylko na utrzymanie imperium, lecz nawet niepodległości Wysp Brytyjskich” (s. 169)? O co dokładnie chodzi w twierdzeniu, że debaty indyjskich elit w pierwszych dziesięcioleciach po przejściu subkontynentu przez Koronę brytyjską toczyły się „na wysublimowanym metapoziomie” (s. 75)? Pomijam już inne niefrasobliwe oceny i sformułowania...

Oprócz wyżej wymienionych problemów w tej części książki budzi wątpliwości pewna kwestia warsztatowa. Otóż autor bardzo obficie szpikuje swe wywody materiałem anegdotycznym; akurat nie jestem przeciwnikiem takiej formy pisania o historii — ułatwia to lekturę książki i pomaga w zapamiętaniu niektórych kluczowych kwestii. Burakowski idzie w tym jednak za daleko: momentami anegdotyczny tok narracji zmienia się w mylącą przyczynkowość. I tak na przykład przypominając słynny list Gandhiego do wicekróla Linlithgow proponujący, zamiast stosowania przemocy, oddanie ziemi brytyjskiej Hitlerowi i Mussoliniemu („niech wezmą w posiadanie waszą piękną wyspę i wasze piękne budynki”), Burakowski komentuje: „List ten był później często przytaczany jako dowód oderwania Gandhiego od rzeczywistości — trudno odmówić racji temu argumentowi, jednak należy pamiętać, iż działalność Mahatmy nie da się sprowadzić do jednego niefortunnego listu” (s. 165, 166). Nie wymagam od autora, by zgadzał się w opisanym przypadku z moralną logiką Mahatmy, a nawet byłbym zaniepokojony, gdyby tak było. Treść owego listu nie była jednak żadnym wynikającym z niewiedzy wybrykiem, lecz owocem konsekwencji Gandhiego w kwestii niestosowania przemocy i chcąc być uczciwym wobec niego, wypadałoby tak to ująć. Z tego samego korzenia wyrastały przecież rady nadstawienia drugiego policzka dawane np. hinduistom z Noakhali w 1946 r. i z Pendżabu rok później, które zresztą pchnęły do czynu Nathurama Godsego, zabójcę Mahatmy.

Tyle o części, która wyszła spod pióra Burakowskiego (rozdziały 1–4). Ta Iwanka (rozdziały 5–11) jest, w mojej ocenie, lepiej napisana, a przy tym mądrze skonstruowana: autor słusznie zauważając we wstępie, iż nawet pobieżne omówienie polityki poszczególnych indyjskich stanów zmieniłoby książkę w monotonną wyliczankę nazwisk, obok opisu przemian społecznych i polityki ogólnokrajowej skupia się na tych stanach, gdzie działo się najwięcej. O czymkolwiek jednak pisze, na ogół czyni to zarówno kompetentnie, jak i ze swadą, inteligentnie wyodrębniając przy tym w osobne podrozdziały takie kwestie, jak np. problem języka państwowego, *dalitów* czy przemian w systemie prawnym.

Do kilku drobniejszych kwestii mam jednak uwagi. Czytamy, że używana oficjalnie przez państwo nazwa *dalitów*, *Scheduled Castes*, wzięła się stąd, że w konstytucji Indii poświęcono tej grupie specjalny rozdział (*schedule*). Nie jest to prawda — używano jej od początku lat trzydziestych, gdy przy okazji reformy prawa wyborczego Brytyjczycy stworzyli dla niższych kast osobną kurię w ramach tzw. kategorii generalnej (niemużulmańskiej), a nazwa wzięła się po prostu od rejestru kast przydzielonych do tejże kurii.

W skądinąd bardzo dobrym podrozdziale o Zielonej Rewolucji i ówczesnym stanie indyjskiego rolnictwa (s. 250–254) brak mi wzmianki o tragicznym głodzie w Biharze w 1966 r. pogłębionym jeszcze przez odgórnie zarządzoną medialną cenzurę⁸. Przy opisie interwencji indyjskiej w Pakistanie Wschodnim (który w jej efekcie stał się niepodległym Bangladeszem) czytamy, że z około 90 tys. jeńców niemal wszystkich wkrótce repatriowano do Pakistanu, a tylko „niemal dwustu” pozostało na miejscu, stając przed sądem za zbrodnie wojenne (s. 275). Owszem, ale wszystkich zbrodniarzy figurujących na owej „liście 195” zwolniono już w 1973 r., gdyż między innymi od tego Pakistan uzależnił oficjalne uznanie nowego państwa. Inna rzecz, że Bangladesz ostatnio uznał za stosowne znowu zacząć ścigać tych ludzi.

Książkę wieńczy krótki, lecz treściwy szkic dotyczący kontaktów polsko-indyjskich w ostatnim półtorawieczu. Zamiast typowej bibliografii dostajemy sumienne wskazówki bibliograficzne dla zainteresowanych, ze szczególnym uwzględnieniem dzieł wydanych po polsku, dostępnych w polskich bibliotekach oraz w Internecie — postawa bardzo słuszna. Drobne uzupełnienia i poprawki: Penderel Moon nie wydał „zbioru korespondencji ostatniego wicekróla Wavella pt. *Viceroy's Journal*” (s. 444), bo po pierwsze, Wavell nie był ostatnim wicekrólem, a po drugie, wspomniana książka to — zgodnie z nazwą — jego dziennik. Książka *Calcutta: A cultural and literary story* została napisana nie przez „K. Dutta” (s. 451) lecz przez panią Krishnę Duttę, a słusznie polecając dzieło Petera Hopkirka *The Great Game* zapomniano o istnieniu polskiego przekładu⁹. Proponując czytelnikowi tłumaczoną z angielskiego pracę o Bombaju, warto by też dodać nie gorszą o Delhi, napisaną po polsku przez Marię Skakuj-Puri¹⁰.

Tak czy owak, omawianą książkę można śmiało polecić wszystkim zainteresowanym. Przy lekturze części o okresie kolonialnym należy co prawda zachować zwiększoną ostrożność; co do pozostałych partii tekstu wystarczy ostrożność zwykła. *Summa summarum* jednak przyznać wypada, że na polskim rynku nie było dotąd równie dobrej i wnikliwej pracy.

Tomasz Flasiński
Warszawa

⁸ Na ten temat zob. P. R. Brass, *The Political Uses of Crisis: The Bihar Famine of 1966–1967*, „The Journal of Asian Studies”, t. XLVI (1986), nr 2, s. 245–267 (uwaga, artykuł zawiera sporo błędów rzeczowych); W. Scarfe, A. Scarfe, *Tiger on a rein: report on the Bihar famine*, London 1969, passim.

⁹ P. Hopkirk, *Wielka Gra. Sekretna wojna o Azję Środkową*, przeł. J. Skowroński, Poznań 2011.

¹⁰ M. Skakuj-Puri, *Życie codzienne w Delhi*, Warszawa 2011.

Michał Lubina, *Birma* [seria: Historia Państw Świata w XX i XXI w.], Warszawa 2014, Wydawnictwo „Trio”, ss. 446

Napisać, że książka Michała Lubiny jest najlepszą w języku polskim naukową pracą o Birmie, byłoby pochwałą wątpliwą, bo żadnej innej po prostu nie ma (nieliczne tego rodzaju książki popularnonaukowe autor co do jednej wypisał w bibliografii, z obowiązku tego czuję się więc zwolniony). A omawianą pracę należy niewątpliwie pochwalić, mniej nawet za pionierski charakter, bardziej zaś z racji rzeczywiście solidnego jak na polskie warunki wykorzystania literatury naukowej. Posiłkując się szeroką gamą opracowań anglojęzycznych (częściej książek niż artykułów), autor umiejętnie robi ponadto użytek ze znajomości miejscowych realiów i ludzi, za czym idą cenne, a nieoczywiste refleksje. Lubina w żadnym miejscu nie potyka się na terminologii, wyjątkowo tu skomplikowanej, o czym przekonuje już sam problem oficjalnej nazwy kraju („Myanmar” po polsku powinno być wymawiane i zapisywane jako „Mjanma”, ale ilu nieorientalistów — tak z ręką na sercu — jest tego świadomych?).

Autor przyjął logiczną budowę pracy: problemowe podrozdziały w ramach wyodrębnionych chronologicznie rozdziałów. Krótko, lecz ze znanstwem scharakteryzowano przedkolonialną monarchię birmańską — opartą na nieformalnych więziach królów z lokalnymi elitami i na obyczaju, przy tym okrutną (jej aktem założycielskim stało się wyrżnięcie kilkudziesięciu tysięcy członków wciąż dyskryminowanego w Birmie plemienia Monów) i niezbyt udolną w rządzeniu, niemniej pod wieloma względami lepszą od reżimu kolonialnego, który ją zastąpił, wysuwając jako pretekst do aneksji regionu właśnie powyższe fakty. Również dość skrótowo potraktowano okres kolonialny, a zwłaszcza drugą wojnę światową, koncentrując się na konsekwencjach działań brytyjskich i polityki Albionu (z jakim skutkiem, o tym dalej). „Demokratyczna dekada” zdominowana przez premiera U Nu (1948–1962) — niby ani demokratyczna, ani dekada, bo czternastoletnia, z demokracją sterowaną, nieustanną wojną domową na zapleczu państwa i innymi problemami — znalazła już szersze omówienie: przedstawia się tu zarówno zapomniany dziś prestiż Birmy w świecie i niewątpliwy (przynajmniej z perspektywy Rangun) rozwój, jak i rozdzierające państwo dziesiątki konfliktów, zwykle o etnicznym podłożu. Wojskowa dyktatura Ne Wina (1962–1988) przedstawiona została równie wnikliwie. Odpowiedni rozdział przyznaje mu zasługi w dziedzinie polityki zagranicznej, a zwłaszcza w obronie państwa przed pełzającą inwazją komunistycznych Chin, jednocześnie nie ukrywając jego dziwactw i wręcz szaleństw (choć, jak podkreśla Lubina, Zachód często bierze również niektóre zupełnie normalne praktyki regionu — jak zasięganie rad astrologów — za dowód głupoty), fatalnych wyników jego polityki gospodarczej oraz może najgorszego elementu spuścizny generała — wepchnięcia społeczeństwa pod (żołnierski) but. Rozdział następny, poświęcony krótkotrwałemu „karnawałowi” 1988 r. i późniejszym rządów armijnych dziedziców Ne Wina, kończy się na tzw. birmańskiej odwilży z roku 2011; następne lata znalazły się w rozdziale końcowym.

Nowoczesność ujęcia, uwzględnienie w treści aktualnych wyników badań ośrodków zagranicznych i trendów nauki światowej, umiejętnie — przynajmniej w drugiej połowie książki — osadzenie dziejów Birmy w modelach politologicznych (bądź co bądź to z tego środowiska autor się wywodzi), interesujące prognozy na przyszłość oraz lekkość pióra — oto zalety omawianej pracy, którą z tego względu można polecić każdemu zainteresowanemu, zarówno specjalście, jak i laikowi. Nadaje się i jako wprowadzenie do dziejów Birmy, i dla pogłębienia wiedzy o kraju nad Irawadi; wartości tej nie przekreślają obiektywne i subiektywne wady, choć jednych i drugich da się trochę wskazać.

Omawiając je, pozwolę sobie rozpocząć od uwag ściśle faktograficznych, tych bowiem nie ma w sumie wiele. Dowiadujemy się, że Clement Attlee doszedł do władzy w Wielkiej Brytanii w sierpniu 1946 r. (w rzeczywistości rok wcześniej). Dalej czytamy, że delegaci ludu Karenów nie podpisali protokołu końcowego konferencji z Panglong (12 II 1947 r.) dającego na papierze pewne przywileje birmańskim mniejszościom etnicznym, gdyż (między innymi) „przykład powstania sąsiedniego Pakistanu był zbyt kuszący” (s. 197). Aż nie uchodzi przypominać, że Pakistan stworzono pół roku później, a w pierwszej połowie lutego nawet jego powstanie nie było wcale pewne, a co dopiero kształt terytorialny. Co najmniej przesadą (wziętą chyba ze Swetoniusza) jest ocena, że rzymski cesarz Klaudiusz najpierw „udawał głupka” w celu dojścia do władzy, a jak już tę władzę zdobył, okazał się „okrutnym tyranem” (tę wycieczkę do starożytności organizuje Lubina po to, by z Klaudiuszem zestawić generała Than Shwe).

Z drobiazgów dotyczących przypisów: znajdujemy w nich informację, że według Jakuba Polita chiński komunizm „bardziej przypominał nazizm niż bolszewizm” (s. 98). W rzeczywistości przywołany tu historyk twierdził co innego¹, a Lubina przepisał ten okaleczony cytat z książki Waldemara Dziaka i Jerzego Bayera, którzy też go nie zrozumieli. Charakteryzując postawę Chruszczowa wobec Birmy (i Azji w ogóle), autor odsyła czytelnika do dwóch biografii genseka, ale nie podaje numerów stron ani nawet rozdziałów, nie informuje też, skąd wzięł przytoczony tam cytat.

Wojska Kuomintangu w Birmie, które wycofały się z Chin, uchodząc przed armią Mao i w latach pięćdziesiątych kilkakrotnie próbowały odbić prowincję Yunnan, są na kartach książki wspomniane czterokrotnie, w tym raz jako „śmiertelne zagrożenie dla państwowości Birmy” (tyleż tu emfazy, co przesady); gdzie jednak stacjonowały, jakie były ich relacje z miejscową ludnością, jak były liczne i co dokładnie się z nimi ostatecznie stało, próżno szukać w tekście. Można to uznać za *pars pro toto* charakteru książki w ogóle: mimo sensownej budowy dość często brak w niej rozwinięcia, pogłębienia czy przede wszystkim konsekwentnego ujęcia zasygnalizowanych kwestii. Ponadto sposób pisania Lubiny — po pierwsze, bardziej politologa niż historyka, po drugie, autora starającego się zmieścić w dziele jak najwięcej ciekawych szczegółów anegdotycznych (cel zacny, ale nie przy takich kosztach), po trzecie, skłonnego do wystawiania cenzurek moralisty — powoduje, że częstokroć лихо bierze hierarchię problemów. Jest mowa o tym, że w 1946 r. w zrujnowanym po wojnie Rangunie Brytyjczycy wystawili *Hamleta*, ale nie ma nawet najskromniejszego oszacowania strat ludnościowych Birmy w tym konflikcie; jest dobry tuzin szpil wbitych kolonizatorom za wchodzenie w butach do pagód, ale nie ma wyjaśnienia, dlaczego w latach trzydziestych wbrew ustanowionemu przez siebie prawu nie ścigali oni nacjonalistów birmańskich za członkostwo w organizacjach paramilitarnych; jest wzmianka, że generałowi Stilwellowi żołnierze kacznińscy przynosili odcięte uszy wrogów i płacono im za to w OPIUM (wersaliki zastosował sam oburzony Lubina), ale nie dowiadujemy się, kim właściwie (oprócz Kaczinów) i w jakich okolicznościach dowodził generał Stilwell.

Do zarzutów innego rodzaju prowokują rozdziały o okresie rządów brytyjskich, będące może zbawienną odtrutką na mit o kolonialnym pokoju i postępie (czy jednak faktycznie

¹ J. Polit pisał w tym fragmencie, że komunizm w Chinach czerpał legitymację z agresywnego nacjonalizmu i z faktu przywrócenia porządku w trzeszczącym dotąd w szwach państwie, w tych konkretnych aspektach odróżniając się od komunizmu sowieckiego. Całe zdanie brzmi: „Pod tym względem rewolucja miała charakter restauracji, a komunizm chiński, rodzimego pochodzenia i odwołujący się do zranionej dumy narodowej, bardziej przypominał nazizm niż bolszewizm”. J. Polit, *Chiny*, Warszawa 2004, s. 195 (nb. książka wydana w tej samej serii co praca Lubiny).

tak żywy w Polsce?), ale przesadzone w drugą stronę. Lubina przedstawia ówczesną sytuację Birmy w skrócie tak: introdukcja nieznanego w Azji Południowo–Wschodniej kredytu i oferowanie miejscowym wieśniakom kuszących, a zbędnych towarów z importu sprawił, że chłopci, dotąd zdolni się na ogół wyżywić, obecnie ryzykownie inwestowali, goniąc za zyskiem, i wydawali pieniądze na błahostki, w rezultacie często tracąc wszystko; kolonizacja nieuprawnych terenów również wymagała brania kredytów, a dodatkowo wyrwała chłopów z ich dotychczasowego środowiska, niszcząc więzi społeczne; wprowadzone przez Brytyjczyków bezosobowe prawo było „obce”, ponieważ zaś rozumiała je nieliczna garstka wykształconych, wielcy zyskiwali w ten sposób dodatkowe narzędzie dominacji nad małuczkiemi; nawet inicjatywy mające w zamyśle poprawić życie wsi nie były na niej rozumiane i odbierano je jako uciążliwą ingerencję, kładąc podwaliny pod rozumienie państwa jako wdzierającego się w codzienne życie opresora, przed którym ocalić może tylko łapówka; świeckość państwa oznaczała koniec wsparcia władz dla religii, co niosło ze sobą negatywne skutki natury kulturowej; wreszcie urbanizacja oznaczała zagładę dotychczasowych więzi społecznych, tworząc w miejsce dawnej wspólnoty zatomizowany tłum poszukujący głównie zysku, a jako efekt uboczny przynosząc gigantyczny wzrost przestępczości — typowe pokłosie rozpadu tradycyjnego porządku.

Ów czarny obraz kolonializmu jest jednak malowany nazbyt smolistymi barwami: na razie zmilczę o spójności moralnej tych uwag i skupię się na faktach. Nastawiony na zysk rozwój upraw, wiążący się ze znaczną migracją wewnętrzną, obok erozji więzi społecznych przyniósł jednak możliwość ucieczki przed przeludnieniem i przed głodem, który akurat w przedkolonialnej Birmie był dość częstym zjawiskiem, zwłaszcza wobec przymusowych rekwizycji na potrzeby armii (Brytyjczykom też się zdarzyło wywołać w taki sam sposób podobną klęskę, ale tylko raz — bezpośrednio po podboju królestwa)². Paternalizm wobec mniejszości oznaczał pewien ich *empowering*, na który niekoniecznie mogłyby one liczyć w niepodległym państwie (przykładem nieodległe kuomintangowskie Chiny); próba ujęcia mnóstwa miejscowych ludów i języków w karby statystyk cenzusowych niosła ze sobą pewne przemiany w ich tożsamości, czy jednak były one negatywne?

Właśnie kwestia birmańskich mniejszości etnicznych wiąże się z pewnym zasadniczym problemem tej pracy. Lubina — doszedłszy do wniosku, że owe nieprawdopodobnie zagramowane zagadnienia rozsadzilyby ramy książki — poświęcił mniejszościom osobne dzieło³, w tym zaś wspomina o nich marginesowo. Co prawda uczciwie przyznał to we wstępie, na dobrą jednak sprawę dopiero obie te książki razem (zresztą wiele fragmentów skopiowano z jednej do drugiej) dają pełnowartościowy obraz dziejów dwudziestowiecznej Birmy — a to już niekoniecznie musi przyjść czytelnikowi do głowy. Problematykę mniejszości przedstawiono tu bowiem w dość nieumiejętnym skrócie, który wynikł pewnie z pośpiechu, doprowadził jednak do znacznych zafałszowań. Dla okresu 1945–1947 jest mowa o wspomnianej konferencji w Panglong, na której mniejszości (nie wszystkie) podpisały dokument stabilizujący ich pozycję w okresie po uzyskaniu niepodległości, ale nie ma mowy o wrzeniu, jakie równoległe ogarnęło te ludy. Wycięto też z narracji wszystkie pozytywne dla nich skutki rządów brytyjskich (jak autor słusznie zauważa — ale nie tu — kolonizatorzy wtręcali się w ich

² J. L. Ritchell, *Disease and Demography in Colonial Burma*, Singapore 2006, s. 210–216; M. Adas, *The Burma Delta: Economic Development and Social Change on an Asian Rice Frontier, 1852–1941*, Madison 2011, s. 45, 46.

³ M. Lubina, *Birma: centrum kontra peryferie. Kwestia etniczna we współczesnej Birmie (1948–2013)*, Kraków 2014 (książka dostępna legalnie w Internecie, m.in. tu: http://www.polska-azja.pl/wp-content/uploads/2014/03/Birma_2013.pdf).

życie znacznie mniej niż Birmańczycy w czasach monarchii, o czasach junty nie mówiąc), zostawiając tylko negatywne.

W ogóle opis tych kwestii — w obu pracach — sprawia wrażenie, jakby autor chciał wylać za dużo pretensji na raz: i skrytykować Albion za to, że przekreślił tradycję Birmańczyków, wrzucając ich na głęboką wodę rozumianej po kolonialnemu nowoczesności, i wypomnieć mu, że nie wtrącał się w wewnętrzne stosunki wśród mniejszości, gdzie zachowała się z tego względu przedkolonialna struktura społeczna, często feudalna (choć dodaje, iż same mniejszości były z tego raczej zadowolone). Plan nadania Birmie niepodległości zastrzeżonej na razie do obszarów zamieszkałych przez „etnicznych” Birmańczyków, którzy przedstawił w 1945 r. gubernator Dorman–Smith, Lubina kwituje stwierdzeniem, że twardogłowi imperialiści przespalili „znaki czasu”; jako pozytywni bohaterowie figurują w jego wywodzie rząd premiera Attleego i lord Louis Mountbatten, którzy plan ten wyrzucili do kosza i w imię szybkiego porozumienia z birmańskimi nacjonalistami pozostawili im układanie się z mniejszościami etnicznymi. Jednocześnie zaledwie parę stron dalej Lubina beszta „perfidny Albion” za to, że wspomnianym mniejszościom — konkretnie Karenom — odmówił parę lat później poparcia, gdy ich partyzantka próbowała obalić rząd tychże nacjonalistów! Powojenny powrót brytyjskich władz kolonialnych do Birmy autor kwituje słowami: „wciąż wydawało im się, że są pełnoprawnym rządem”, by parę stron dalej przyznać, iż mniejszościom na ogół bliżej było do Albionu niż do birmańskich nacjonalistów, a co do stanowiących większość narodu birmańskiego chłopów, legitymacja niepodległego państwa „od początku była wśród nich na dramatycznie niskim poziomie”, gdyż jego administracja co najmniej dorównywała uciążliwością kolonialnej. Wszystko dobre, byle wykazać, że imperialiści to samo zło; co tam konsekwencja.

Jak daleko prowadzi Lubinę ta droga, widać na s. 78, gdzie znajdujemy pochwałę „urzędników, którzy okazali serce” i za drobny upominek pomagali chłopom uniknąć „niekorzystnej” dla nich kampanii szczepień wiejskich dzieci. Niezależnie od tego, czy ma to być obiektywny opis problemu, czy próba oddania jego wiejskiego wyobrażenia, refleksja i tak nie ma sensu. Jakkolwiek by bowiem patrzeć, szczepienia działały, cokolwiek by postkolonialni badacze napisali — słusznie czy nie — o „kolonizacji ciała” oraz interpretacji sprzeciwu wobec kampanii szczepień jako odrzucenia obcej władzy⁴.

Dochodzą do tego bardzo liczne analogie historyczne z Polską i Europą, czasem zaskakująco trafne, innym razem zdecydowanie dęte (królowa Bona jako analogia do kierującej polityką birmańską, ze skazywaniem na śmierć niepokornych włazcznie, i całkowicie dominującej nad mężem Supayałat, małżonki króla Thibawa?), co zresztą sam Lubina z lubością zarzuca innym. Dochodzi wreszcie — to już uwaga nie tylko do autora, także do wydawnictwa — mnóstwo błędów i dziwolągów składniowych, niekiedy skutecznie utrudniających zrozumienie tekstu. Jako się rzekło, Lubina ewidentnie spieszył się przy pisaniu.

Są to może uwagi złośliwe, ale w tym wypadku kierowałem się zasadą „jaka książka, taka recenzja”. Autor nie przepuszcza żadnej okazji, by dać szcztka w nos reprezentantom

⁴ Określenie „kolonizacja ciała” pochodzi z klasycznej już monografii Davida Arnolda *Colonizing the Body: State Medicine and Epidemic Disease in Nineteenth-Century India*, Berkeley 1993. Na temat szczepień w Birmie zob. A. Naono, *Vaccination Propaganda: The politics of communicating colonial medicine in nineteenth century Burma*, „SOAS Bulletin of Burma Research”, t. IV (2006), nr 1, s. 30–44 (korzystałem z wersji internetowej: <http://www.burmalibrary.org/docs11/SBBR4.1-Naono.pdf>); eadem, *Inoculators, the indigenous obstacle to vaccination in colonial Burma*, „Journal of Burma Studies”, t. XIV (2010), s. 91–114 (i cały numer poświęcony medycynie czasów kolonialnych); J. L. Ritchell, *Disease and Demography...*, s. 189–195. Inna sprawa, że napływ ludzi z zagranicy wystawił Birmańczyków na nowe epidemie.

postaw przez niego nieakceptowanych — aż po zupełne drobiazgi. Gdy birmańscy nacjonalisci zarzucają (przed wojną) mniejszości kareńskiej „kolaboracjonizm”, czego świadectwem ma być m.in. jej upodobanie do brytyjskich potraw, Lubina komentuje „tego ostatniego faktycznie nie sposób zrozumieć”. (Natomiast jako koneser whiskey zalicza nauczanie Birmańczyków jej produkcji do „najważniejszych zasług cywilizacyjnych, które Birma zawdzięcza Anglii” [s. 84]; zasługą drugą i ostatnią ma być wprowadzenie nad Irawadi piłki nożnej). Przykładów tego rodzaju są dosłownie dziesiątki. Książka jest dla Lubiny okazją do porachowania się ze wszystkimi jak leci, choćby nie mieli nic wspólnego z Birma — np. z Komitetem Noblowskim za „kuriozalne” pokojowe Noble dla „takich wzorów moralnych jak Jaser Arafat i Michaił Gorbaczow” (s. 186).

No właśnie. Ze względu na wielką wagę, jaką autor przywiązuje do moralnej oceny występujących w jego książce postaci i postaw, nie sposób uciec od tego tematu. Zresztą tu również idę za przykładem samego Lubiny: niedawno zaatakował on świetną pracę Łukasza Bonczola za stwierdzenie, iż niewątpliwy rozwój gospodarczy Indonezji pod rządami generała Suharto nie zmyje z niego grzechu krwawych represji (m.in. wobec Timorczyków) ani nie ukryje faktu, że po długiej dyktaturze przywróconą wreszcie liberalną demokrację rozsadza od środka polityczny islam⁵. Lubina grzmiał wówczas: „autora wyraźnie poniosły emocje i zawiodła dyscyplina”, „czytając te słowa odnoszę wrażenie, że w autorze rzetelność badacza momentami przegrywa z zapalem demokratycznego działacza”, „to jest praca naukowa, a nie manifest Amnesty International”, Bonczol „ryzykuje wpadnięcie w charakterystyczny dla wielu prawno-człowieczych aktywistów dogmatyzm godny Hegla” itd. W rzeczywistości pierwszy cytat pasuje raczej do Lubiny niż do Bonczola, a trzy następne — gdyby zamienić parę wyrazów — tak samo.

Zasadniczo Lubina przyjmuje wierność tradycji za istotniejsze kryterium ocen moralnych niż zachodnie koncepcje praw człowieka (zdając się przy tym podzielać niechęć lubianego przez siebie birmańskiego przywódcy narodowego Aung Sana do „nonsensów indywidualizmu”): nikt nie może mu zarzucić, że próbuje wyręczać Amnesty International. Gdy ostatni król Birmy Thibaw wstępując na tron, dokonuje (a raczej nie tyle on, ile jego wspomniana wyżej żona Supayała) masakry krewnych jako ewentualnych konkurentów do władzy, Lubina zwraca uwagę, że w Birmie fakt ten nikogo nie bulwersował, a gniew kalkuckich gazet i brytyjskiej opinii publicznej podszyty był rasizmem. Natomiast gdy Brytyjczycy podbijają Birmę i wywożą Thibawa do portu wozem zaprzężonym w woły (zamiast królewskim palankinem), co gorsza zaś, przeciągają stołecznymi ulicami truchło świętego dla miejscowych białego słonia, zostają porównani do starożytnych Hunów oraz armii sowieckiej ze względu na brak szacunku dla cudzej kultury. Można się zachnąć na takie zestawienie, ale autor jest tu przynajmniej konsekwentny: niedawną (z 2008 r.) pacyfikację demonstracji mnichów przez wojskową juntę kwituje oceną, że generałowie postąpili o wiele gorzej od kolonialistów, których przecież „obowiązywały inne wzorce kultury”.

Płomienna filipika przeciw negatywnemu skutkowi rządów kolonialnych, jakim było zniszczenie tradycyjnych społeczno-wiejskich wynikające z urbanizacji, wprowadzenia nadzoru państwa nad wsią oraz kolonizacji nieuprawnych ziem, pomija fakt, że podobne procesy miały miejsce w ówczesnej Europie (może poza ostatnim): tamtejszych chłopów też bynajmniej nikt nie pytał, czy zgadzają się na podcinanie korzeni wiejskich wspólnot poprzez stworzenie jej członkom możliwości migracji do miast. W tym sensie wieśniak np. polski nie był w żadnym sensie — jak i birmański — podmiotem przemian tego rodzaju, a mogły mu

⁵ Recenzowana książka (przy sposobności warto ją zdecydowanie polecić): Ł. Bonczol, *Zrozumieć Indonezję. Nowy Ład generała Suharto*, Warszawa 2012, recenzja: <http://www.polska-azja.pl/2013/11/17-/m-lubina-recenzja-ksiazki-lukasza-bonczola-zrozumiec-indonezje/>.

one przynieść zarówno awans, jak i kompletną pauperyzację. Skoro więc Lubina chce debatować nad moralnym aspektem tych przemian, dlaczego jedynym wątkiem, który go interesuje, jest zdroworoządkowa skądinąd obserwacja, że kultura brytyjska różniła się od birmańskiej? W myśl tej logiki dla narodu brytyjskiego (i szerzej: cywilizacji europejskiej) kredyt hipoteczny, fabryki i obumieranie patriarchalnych wiejskich gromad byłyby więc czymś zwyczajnym, bo to ferment we „własnej” kulturze doprowadził do tych przemian, dla narodu birmańskiego zaś stanowiłyby wyłącznie szkodliwy obcy import. Dlaczego tak? Płytką ta refleksja moralna.

Zło wyrządzone przez kolonizatorów wyrażać się miało także wprowadzeniem w buddyjskiej Birmie — gdzie dotąd w przednowoczesnym, buddyjskim społeczeństwie wieśniak był „zadowolony z życia” — kredytu oraz dążności do maksymalizacji zysku, by go wydać na „przedmioty, których [chłop] nie potrzebował, ale które chciał mieć”, np. importowane ubrania. Ów negatywny skutek kolonializmu piętnuje ten sam Lubina, który niedawno cieszył się, że jego birmańscy znajomi mogą dzięki odwilży w kraju „gonić sąsiadów w tym, co Azjaci kochają najbardziej: w konsumpcji i shoppingu”⁶. Przypomnijmy przy okazji, że owi sąsiedzi to przede wszystkim Chiny i (nie mniej od Birmy buddyjska) Tajlandia, nigdy niebędące europejskimi koloniami, a shoppingowi i konsumpcji oddane w rzeczy samej. Niech każdy szuka w tym konsekwencji, jak umie: ja nie mogę pozbyć się wrażenia, że antykolonialne wzburzenie rozmagnesowało Lubinie moralną busołę.

Nie czuję się kompetentny wyrokować, czy igła magnetyczna wskazuje właściwy kierunek w osądach autora na temat współczesności, więc je tylko telegraficznie streszczę, bo w tych partiach pracy znów więcej jest ocen moralnych niż opisu faktów. Aung San Suu Kyi jest dla Lubiny oderwaną od birmańskiej rzeczywistości idealistką, w której studia na Zachodzie zaszczepiły gandystowską ideę niestosowania przemocy, oddanie demokratycznym wartościom oraz inne przekonania być może szlachetne, lecz nierealne w kraju przypominającym ustrojowo raczej Rosję epoki Tołstoja niż USA czasów Martina Luthera Kinga. (Przy tej okazji autor zdradza swe braki w kinematografii: nie pisałby raczej, że dla zachodniej opinii publicznej losy Aung San Suu Kyi były „historią walki dobra ze złem, czegoś w filmowym stylu *Pięknej i bestii*” [s. 265] gdyby obejrzał ten film). Chwali natomiast mającą miejsce w ostatnich latach jej metamorfozę: w zamian za dopuszczenie do władzy zrezygnowała ona z krytyki najbardziej jaskrawych nadużyć junty. Ów kompromis Lubina porównuje do polskiego Okrągłego Stołu, zaznaczając jednak, że analogii tych nie można ciągnąć zbyt daleko: birmańska armia to siła rodzima, reakcjami Zachodu przejmuje się jedynie do pewnego stopnia, sąsiedzi zaś nie myślą nalegać na demokratyzację kraju, podobnie jak społeczeństwo — zwłaszcza że wojsko poniekąd legitymizuje swoją władzę, przesładując mniejszości (muzułmańscy Rohingja to ostatnio przykład najbardziej nabrzmiały).

Im bliżej końca książki, tym szerzej tryska sikława epitetów wobec kolegów po fachu w stylu podobnym jak kierowane do Bonczola: szczególnie często dostają po głowie reprezentanci „typowo prodemokratycznego zideologizowania”, którego Lubina szczerze nie znosi. Owe przytyki (ach, ci badacze z Zachodu! Nie dość, że mają obsesję na punkcie demokracji liberalnej, to jeszcze nie czytali Solżenicyna) są dla autora punktem wyjścia do tezy końcowej: dla Birmańczyków ustrój jest mniej ważny niż rozwój gospodarczy oraz stabilność państwa i jeśli obecna „odwilż” przyniesie poprawę w pierwszej z tych kwestii, nie pogarszając spraw odnośnie do drugiej, będzie się można cieszyć. Przynajmniej jeśli państwa nie rozsądzą w międzyczasie wieczne konflikty etnoreligijne oraz rywalizacja Chin z USA o wpływy.

⁶ *Birma ma ogromne znaczenie geopolityczne*, 15 IX 2013 [wywiad Piotra Gruszki z Lubiną], <http://wiadomosci.onet.pl/tylko-w-onecie/michal-lubina-dla-onetu-birma-ma-ogromne-znaczenie-geopolityczne/n0w9g>; podobne uwagi w ostatnim rozdziale omawianej książki.

Cieszyć się czy nie? Nie będę tego tu rozstrzygał: na pewno należy się cieszyć, że omawiana praca powstała. Zresztą większość z jej wad może denerwować czytelnika, ale nie tak bardzo mu zaszkodzi, nawet jeśli nie zna on dobrze tematu. Z przymrużeniem oka spojrzeć można na lekką próżność autora, który musiał przypomnieć, że w 2011 r. jako pierwszy polski analityk użył określenia „birmańska odwilż”, wśród zdjęć ilustrujących pracę zamieścił zaś fotkę z sobą samym i Aung San Suu Kyi, na której on uśmiecha się w obiektyw, a noblistka podpisuje mu książkę. Prywatne boje Lubiny z politologami o innych poglądach, Brytyjczykami z czasów kolonialnych („można i trzeba powiedzieć o nich wiele złego”), zachodnią opinią publiczną i Bóg wie kim jeszcze da się zignorować — kiedy autora ponosi, a często go ponosi, na ogół od razu to widać. Poza tym zaś analizy Lubiny, choć niekiedy można im zarzucić brak obiektywizmu lub konsekwencji, są i tak niezwykle głębokie w porównaniu ze standardem omawianej serii odnośnie do Azji (*vide* tomy o Malezji i Indonezji). Bezwzględnie warto tę książkę przeczytać, mimo że krytyce poświęciłem tu o wiele więcej stron niż pochwałą: pozytywne jej cechy i wartościowe fragmenty obronią się same, natomiast skoro autor bez przerwy wytyka wszystkim braki w wiedzy, uprzedzenia, przenoszenie frustracji na grunt naukowy i brak refleksji nad własną postawą, recenzent niewątpliwie powinien mieć przynajmniej równe prawa.

Tomasz Flasiński
Warszawa

Bruno Birolli, *Ishiwara, l'homme qui déclenacha la guerre*, Paris 2012, ARTE Éditions, Armand Colin, ss. 252

Wojna, którą rozpętał bohater związanej biografii autorstwa Brunona Birollego, to wojna światowa; dokładniej — druga wojna światowa. Ponieważ w Europie niewielu — nawet w gronie zawodowych historyków — słyszało o postaci figurującej w tytule tej książki, można go uznać za prowokację intelektualną. Zapewne w jakimś stopniu tak jest, ale jednak nie do końca. Wojna rozpętana w Europie w 1939 r. prawdziwie światowy zasięg uzyskała bowiem po wejściu do niej w grudniu 1941 r. Stanów Zjednoczonych. Te ostatnie zaś zmuszone zostały walczyć w konsekwencji japońskiej agresji przeciw Chinom, rozpoczętej ponad dziesięć lat wcześniej w Mandżurii. Przy obraniu takiej perspektywy nie do końca absurdalna staje się teza, iż decyzję o rozpętanu światowego kataklizmu podjęli dwaj japońscy pułkownicy: Ishiwara Kanji i Itagaki Seishiro w nocy z 4 na 5 VII 1929 r. — czyli w czasach, gdy większość Europejczyków nawet nie słyszała o Adolfie Hitlerze.

Fascynującą — choć znaną tylko profesjonalistom — postacią Ishiwary zajął się już przed ponad czterdziestu laty amerykański historyk Mark Peattie. Owocem jego badań była znana praca *Ishiwara Kanji and Japan's Confrontation with the West* (Princeton University Press, Princeton–London 1975) będąca nie tyle klasyczną biografią (chyba, że pretekstową), ile raczej próbą portretu pewnego środowiska w przełomowej historycznie epoce. Ze względu na olbrzymi autorytet Peattiego (obecnie jednego z największych znawców dziejów dwudziestowiecznej Japonii w skali światowej) nowe spojrzenie na Ishiwarę od początku przedstawiać się musiało jako przedsięwzięcie niełatwe, choć kolejne materiały źródłowe i rosnąca perspektywa dziejowa czynią taki wysiłek na pewno potrzebnym.

Birolli w swej związanej przecież książce sporo miejsca poświęca środowisku rodzinnemu i młodości swego bohatera. Wywodził się on z rodziny samurajskiej, ale spauperyzowanej (ojciec był rolnikiem, potem policjantem): był jednym z dwanaściorga (!) rodzeństwa. Zawód

żołnierza wybrał dla niego ojciec. Młody Kanji był chłopakiem zdolnym, ale i trudnym. Czytał *Biblię*, *Koran* i rozmaitych ideologów, ale lekcewał tak hołubioną w ojczyźnie poezję, a podobno nigdy nie przeczytał powieści. Od narzeczonej, wyszukanej przez rodziców, uciekł w sam dzień zaślubin. W wojsku przełożeni chwalili go, ale od kolegów otrzymał przydomek „numer siedem” — było to skrzydło miejscowego szpitala mieszczące chorych psychicznie. Na jego poglądy wpływ wywarła myśl średniowiecznego buddysty Nichirena, interpretującego ową pacyfistyczną religię w militarystycznym duchu, oraz współczesny już panazjatysta Nanbu Jiro, wierzący w „misję oswoobodzicielską” Japonii na kontynencie. Sojusze z „białymi” mocarstwami (w owym czasie z Wielką Brytanią) Ishiwara uważał za zdradę owej misji, swoim żołnierzom kazał natomiast powitać trzykrotnym *banzai* wieść o obaleniu dynastii Qing przez chińskich rewolucjonistów. O przydział do Chin starał się zresztą od początku kariery; usłyszał, że oficer takiego formatu powinien odbyć szkolenie w Niemczech. Dotarł do nich w 1923 r. przez Francję (gdzie odwiedził grób Napoleona), skonstratował przetrwanie dyscypliny w pokonanej Rzeszy, a czytając na przemian Marksa, Ludendorffa i japońskich panazjatystów, uznał, że wilhelmińskie cesarstwo przegrało, bo prowadziło wielkie ofensywy bez jasnego wytyczenia politycznych celów wojny. Wracając do ojczyzny koleją transsyberyjską, przepowiadał wielką wojnę światów i ras na rok 1950 (2600–lecie urodzin Buddy). Ową konfrontację panazjatyckiej Japonii z Anglosasami i bolszewikami powinno poprzedzić podbicie trawionych wojną domową Chin. „Uratowanie Chin, nieznaną pokój, jest misją Japonii, misją, która w dzisiejszych czasach jest jedynym sposobem uratowania samej Japonii” (s. 118).

Opis spisku w łonie stacjonującej w Mandżurii Armii Kwantuńskiej, gdzie podpułkownik Ishiwara był oficerem sztabu, zajmuje poczesne miejsce w książce Birollego, ale nie dodaje wiele do faktów ustalonych ongiś przez Peattiego i Ogatę Sadako (*Conspiracy in Mukden. The Making of Japanese Foreign Policy, 1931–1932*, Berkeley 1964). Współtwórcą konspiracji był wspomniany już pułkownik Itagaki Seishiro, mniej egzaltowany, ale za to bardziej cyniczny od Ishiwary, choć udział tego ostatniego we wcielaniu planu w życie był chyba większy. Sam twierdził tak w diariuszu (którego prowadzenie jest, nawiasem mówiąc, dość dziwne jak na konspiratora) i wobec kolegów, wołając: „ja jestem odpowiedzialny za operacje, tylko ja!” (s. 146; mówił to, powtórzmy, podpułkownik, człowiek rangi stosunkowo niskiej!). Osobiście bombardował (z powietrza) gmachy uniwersytetu w Jinzhou, a wysłany — pod koniec walk jako „ekspert” (?) — do siedziby usiłującej powstrzymać agresję Ligi Narodów miał ochotę „rzygać”, widząc to, co określał jako zgromadzenie tchórzy. W stworzonym w Mandżurii przez Armię Kwantuńską, oderwanym od Chin „niepodległym” państwie Mandżukuo dostrzegał „unikatowy eksperyment [...] unikatowe państwo opierające się na zasadzie rasowej harmonii” (s. 160). Jednak, jak powiada jego biograf, kiedy „Ishiwara karmił się marzeniami, Itagaki robił to, co uważał za możliwe” (s. 155).

Spiskowcy w znacznej mierze zatriumfowali, Liga Narodów została upokorzona. Japonia ją opuściła, jej cywilny rząd, nie dość entuzjastycznie nastawiony do agresji, został obalony. Ale plany Ishiwary o „kraju harmonii ras” i „raju na ziemi” się nie spełniły, bo się spełnić nie mogły. Mandżukuo stało się niczym więcej jak japońską kolonią i (to fakt, sprawnie zarządzanym) państwem policyjnym. Ishiwara, awansowany do stopnia pełnego pułkownika (tylko), doznał zawodu, którego odmalowanie należy do lepszych partii książki Birollego. Młody oficer, odwołany z Mandżurii do pracy sztabowej w Tokio, wierzył głęboko, że Japonia potrzebuje porozumienia z rządzoną przez Chiang Kai-sheka Republiką Chińską i że oba państwa powinny czynnie współpracować w obliczu zagrożenia, jakie stanowił dla nich Związek Sowiecki. Stosunek do tego zagadnienia sprawił, że rozeszły się jego drogi z dotychczasowymi współpracownikami, takimi jak Itagaki (już generał) czy as wywiadu Armii Kwantuńskiej Doihara Kenji.

Birolli nie pisze niestety, jak przedstawiały się szanse takiego porozumienia. Tymczasem były one całkiem realne. Chiang Kai-shek dobrze rozumiał niebezpieczeństwo sowieckie i gotów był do współpracy z Japonią, choć nigdy za cenę oficjalnego uznania „podrabianego Mandżukuo” (*wei Manzhouguo*). Dawni koledzy Ishiary, którzy doszli do najwyższych stanowisk w Tokio (na przykład Itagaki został ministrem wojny), możliwości te całkowicie pogrzebali. Jak słusznie wskazuje Birolli, doszli oni do wniosku, że skoro rządzący w Chinach Kuomintang nie chce uznać reżimu zainstalowanego w Mandżurii przez Japonię, jedynym wyjściem dla Japonii jest zainstalowanie w Chinach nowego, marionetkowego rządu na miejscu Kuomintangu i Chiang Kai-sheka.

Tymczasem Ishiara widział w Chiangu gwaranta stabilności w Chinach i potencjalnego alianta. Nie chciał też obalania siłą rządu w samej Japonii. Gdy w mroźny poranek 26 II 1936 r. antysowiecka frakcja *Kodo* próbowała dokonać w Tokio zamachu stanu, Ishiara odegrał znaczną rolę w jego unicestwieniu. Nawiasem mówiąc, puczyści, którym groził „zmiażdżeniem”, omal go nie zabili; głowę uratowała mu sława zdobywcy Mandżurii (s. 206, 207). Opisujący te wydarzenia Birolli nie stawia jednak pytania, czy pułkownik nie dostrzegł, iż rebelianci (których przywódca Ando Teruzo był w stopniu zaledwie kapitana) w sposób oczywisty wzorują się na wydarzeniach, do których doszło przed niespełną pięć laty w Mandżurii.

Po owym „incydencie 26 lutego” Ishiara, mianowany jesienią 1936 r. szefem Biura Operacji Wojennych Sztabu Generalnego, a 1 marca roku następnego generałem, stanął u szczytu kariery. Ów szczyt stał się jednak wstępem do pełnego upadku. 7 VII 1937 r. dość przypadkowa strzelanina między Japończykami a Chińczykami na podpekińskim moście Marco Polo (chiń. Lugou, jap. Rokokyo) doprowadziła — po miesiącu przepłatanych potyczkami negocjacji — do wybuchu między obu państwami wojny totalnej na olbrzymią skalę.

Rolę odegraną wówczas przez swego bohatera Bruno Birolli przedstawia na pewno nabyt zbyt zwięźle na stronach 214–224. Jest to krzywdzące do Ishiary, który z ogromną energią i co najmniej równą jej odwagą usiłował wówczas powstrzymać nadciągający armagedon. Udało mu się dotrzeć do samego premiera Konoego Fumimaro (cywila!) i nakłonić do bezprecedensowego kroku, jakim byłaby lotnicza podróż na kontynent w celu natychmiastowego osobistego spotkania na szczycie z Chiang Kai-shekiem. Jednak zwolennicy konfrontacji (jak wykazał źródłowo Peattie, a spośród innych historyków Barbara Brooks i biograf Konoego Oka Yoshitake) nakłonili chwiejnego szefa rządu do zmiany zdania. Argumentowali — niestety, trafnie — iż Ishiara reprezentuje tylko drobną część sił zbrojnych. Rezultatem był kaktaklizm, do którego po czterech latach zostały włączone Stany Zjednoczone i który skończył się dla Japonii atomowymi błyskami nad Hiroszimą i Nagasaki.

W tych dramatycznych wydarzeniach Ishiara żadnej już roli nie odegrał. Jeszcze w 1937 r. ustąpił ze stanowiska w sztabie, obejmując dowództwo 16 Dywizji. Nie zatracił jednak politycznej pasji, zwłaszcza gdy członkiem rządu został znany mu z Mandżurii Tojo Hideki, którego uważał nie bez racji za ograniczonego zupaka całkowicie niepczytalnego w dziedzinie stosunków międzynarodowych. Wiosną 1941 r. Tojo wyrzucił wreszcie z wojska nazbyt zadzierzystego generała po referacie, który Ishiara wygłosił na uniwersytecie w Kioto (w pobliżu stacjonowała jego jednostka). Birolli nie wyjaśnia, co jego bohater tam powiedział — i wielka szkoda. Zdobycwa Mandżurii oznajmił mianowicie, że w aktualnej wojnie wrogiem nie jest „naród chiński, ale niektórzy Japończycy”. Następnie wymienił z nazwiska Tojo i aktualnego dowódcę Armii Kwantuńskiej Umezu Yoshijiro, oznajmiając, iż owi „mąciociele pokoju i wrogowie całego świata [...] powinni zostać aresztowani i straceni” (cyt. za: M. Peattie, *Ishiara*, s. 330). Tylko osobliwemu rozproszeniu władzy w ówczesnej japońskiej dyktaturze przypisać można fakt, iż autor tego rodzaju deklaracji, niewykazujący zresztą najmniejszej skruchy, mógł pozostać nie tylko przy życiu, ale i na wolności. Po kapitulacji Japonii emerytowany generał Ishiara zeznawał jeszcze jako świadek (nie oskarżony!) przed sław-

nym Trybunałem Tokijskim. Zmarł na raka w Nishiyamie 18 VIII 1949 r., zdążywszy jeszcze przesłać amerykańskiemu namiestnikowi okupowanego Cesarstwa, generałowi Douglasowi MacArthurowi, plan reorganizacji zarządzania Japonią. Była to jego ostatnia utopia.

Choć Birolli nie wyraża tego wprost, z jego pracy przebija niejaka fascynacja postacią Ishiwary. W pewnym sensie jest to usprawiedliwione, gdyż na tle ówczesnych japońskich dowódców — przeważnie nieciekawych ludzi o ciasnych horyzontach — zdobywca Mandżurii wydaje się istnym gigantem. Cesarscy generałowie i admirałowie, odważni na polu bitwy, pozbawieni byli zazwyczaj cywilnej odwagi, potrzebnej zwłaszcza do podjęcia (także w polityce) śmielszej, a już najbardziej niepopularnej decyzji. Ishiwara (tak jak we flocie sławny admirał Yamamoto Isoroku) odbiegał od tego wzoru. Zafascynowany biograf napomyka jednak nazbyt przelotnie, że to wyczyny jego bohatera były w istocie „przyczyną raka”, który pożarł w końcu Armię Cesarską (s. 227). Przed Ishiwarą znała ona tylko „zwyczajny” imperializm. Zdobywca Mandżurii i jemu podobni zaszczepili wojsku poczucie misji.

Książka Birollego zawiera nieco błędów. Takie lapsusy jak nazwisko słynnego niemieckiego historyka wojskowości (Delbrück zamiast Delbrück, s. 85), data kapitulacji Japonii (4 zamiast 2 IX 1945, s. 246), nazwa cesarskiej tajnej policji (*kenpetai* zamiast *kempeitai*, s. 120), nazwisko znanego amerykańskiego dziennikarza i świadka historii (Adend zamiast Abend, s. 124) czy nawet rządzącego Mandżurią w latach 1928–1931 warlorda (Zhang Zuoliang zamiast Zhang Xueliang, s. 141) mogą być zwykłymi literówkami, być może nawet spowodowanymi przez „korektora worda”. Gorzej z innymi. Podczas wojny z Japonią w latach 1904–1905 Rosjanie nie mieli nad Japończykami czterokrotnej przewagi liczebnej (s. 46). W 1928 r. Chiang Kai-shek nie stworzył „le premier gouvernement unifié en Chine depuis près de vingt ans” (s. 114), bo rząd taki miał u swego boku dwanaście lat wcześniej (w 1916 r.) Yuan Shikai. Trudno się też zgodzić, iż Kita Ikki to „inventeur du national-socialisme japonais” (s. 208); jeśli to figura retoryczna, to za daleko idąca. Wreszcie, co istotne, Ishiwara zwolniony został z wojska nie w maju (jak czytamy na s. 228), ale w marcu 1941 r.

Ishiwara, l'homme qui déclencha la guerre nie zastąpi jednak wcześniejszej o lat niemal czterdzieści klasycznej biografii generała. Birolli wykorzystał wprawdzie w swej pracy (ale incydentalnie) archiwalia francuskiego ministerstwa obrony, sięgnął też do rzadko eksploatowanych (ze względu na barierę językową) opracowań japońskojęzycznych. Nie spenetrował jednak archiwów japońskich ani nawet materiałów Międzynarodowego Trybunału Wojskowego dla Dalekiego Wschodu (Trybunału Tokijskiego). W porównaniu z liczącą dziewiętnaście stron bibliografią do pracy Peattiego jego zaplecze naukowe wygląda skromnie. Toteż najlepszym przewodnikiem po życiu Ishiwary pozostaje nadal Mark Peattie.

Jakub Polit
Kraków

Janusz Cisek, *Granice Rzeczypospolitej i konflikt polsko-bolszewicki w świetle amerykańskich raportów dyplomatycznych i wojskowych (1919–1921)*, Kraków 2012, Księgarnia Akademicka, ss. 327

Stany Zjednoczone, jak pisał ostatnio Marek Kornat, były jedynym mocarstwem w okresie rozstrzygnięć po zakończeniu pierwszej wojny światowej, które „rzuciło na szalę swój autorytet w sprawie Polski z powodów innych niż własne interesy”¹. Podobnie zresztą twier-

¹ M. Kornat, *Polityka zagraniczna Polski 1938–1939. Cztery decyzje Józefa Becka*, Gdańsk 2012, s. 9.

dził Józef Piłsudski, doceniając wielką rolę i znaczenie, jakie odegrały Stany Zjednoczone w procesie odbudowy polskiej państwowości. Późniejszy izolacjonizm Ameryki nie oznaczał przecież, że Waszyngton przestał się interesować tym wszystkim, co działo się na Starym Kontynencie, szczególnie w okresie kolejnych kryzysów wstrząsających systemem wersalskim. Bez wątplenia jednym z nich, może najpoważniejszym aż do wybuchu drugiej wojny światowej, była wojna polsko–bolszewicka. O jej ogromnym znaczeniu dla europejskiego porządku świadczyć może fakt, iż coraz powszechniej się uznaje, że po jej zakończeniu w Europie nastąpił ład wersalsko–ryski. Wydarzenia te nie przechodziły rzecz jasna bez echa po drugiej stronie Atlantyku, amerykańska administracja bacznie im się bowiem przyglądała. Nie dziwi więc pogłębiające się z czasem zainteresowanie naszej rodzimej, choć nie tylko, historiografii relacjami amerykańsko–polskimi w tym okresie oraz stosunkiem Stanów Zjednoczonych do odradzającej się Polski — jej problemów zarówno wewnętrznych, jak i zewnętrznych². Cieszy więc fakt, że w ostatnich kilku latach polski czytelnik mógł otrzymać kolejne pozycje dotyczące tej problematyki, które przygotował znany i ceniony badacz Janusz Cisek³.

Z dziejopisarstwem Janusza Ciska przyszło mi się zetknąć już w pierwszych latach studiów historycznych. Wówczas to, wraz ze wzrostem moich zainteresowań szeroko rozumianymi dziejami Drugiej Rzeczypospolitej oraz międzywojennego Krakowa, nie sposób było pominąć lektur, które wyszły bądź to spod pióra samego autora, bądź przy jego współdziałaniu. Janusz Cisek, obecnie kierownik Zakładu Historii i Kultury Europy Środkowej w Instytucie Europeistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, w przeszłości m.in. dyrektor Instytutu Józefa Piłsudskiego w Ameryce, a także Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, choć jego nazwisko kojarzone jest w głównej mierze z monumentalnym *Kalendarium życia Józefa Piłsudskiego*⁴, pisał bowiem sporo⁵. W ostatnich zaś latach głębokim studiom poddał on okres wojny polsko–bolszewickiej⁶, w szczególności sposób ukie-

² Zob. przykładowo: A. M. Cieniła, *USA a sprawa W. M. Gdańska w latach 1919–1920 (Przyczynki do historii stosunków polsko–amerykańskich)*, w: *Ameryka Północna. Studia*, t. II, red. M. M. Drozdowski, Warszawa 1978; H. Parafianowicz, *Polska w europejskiej polityce Stanów Zjednoczonych w okresie prezydentury Herberta C. Hoovera (1929–1933)*, Białystok 1991; N. Pease, *Poland, the United States, and the Stabilization of Europe*, New York 1982; J. Smoliński, *Polsko–amerykańskie stosunki wojskowe 1776–1945*, Warszawa 2004; P. Wandycz, *United States and Poland*, Cambridge (Massachusetts) 1980; B. W. Winid, *W cieniu Kapitolu. Dyplomacja polska wobec Stanów Zjednoczonych Ameryki 1919–1939*, Warszawa 1991.

³ Oprócz recenzowanej pracy mowa tutaj o tomie źródeł wydanych przez J. Ciska, zob. *American Reports on the Polish–Bolshevik War 1919–1920*, Warszawa 2010, które — wedle słów autora — stanowi uzupełnienie do recenzowanej monografii.

⁴ W. Jędrzejewicz, J. Cisek, *Kalendarium życia Józefa Piłsudskiego 1867–1935*, t. I–IV, Łomianki–Kraków 2007.

⁵ By przywołać jedynie publikacje książkowe: *Instytut Józefa Piłsudskiego w Ameryce i jego zbiory*, Warszawa 1997; *Józef Piłsudski*, Warszawa 2007; *Józef Piłsudski w Krakowie*, Kraków 2003; *Kalendarium działalności Józefa Piłsudskiego. Uzupełnienie do „Kroniki życia Józefa Piłsudskiego 1867–1935”*, Nowy Jork 1992; (z K. Stepanem) *Lista strat Legionów Polskich 1914–1918*, Kraków 2006; *Oskar Halecki. Historyk. Szermierz Wolności*, Warszawa 2009; *Polski Komitet Emigracyjny w Nowym Jorku*, Nowy Jork 2003.

⁶ Idem, *Bitwa Warszawska 1920. O Polskę i Europę*, Warszawa 2012; J. Cisek, W. Suleja, *Ignacy Matuszewski w rokowaniach ryskich*, w: *Traktat ryski 1921 roku po 75 latach. Studia*, red. M. Wojciechowski, Toruń 1998.

jącej się Polski czasie⁷. Ich owocem jest również recenzowana na łamach niniejszego tekstu praca, która ukazała się nakładem krakowskiej Księgarni Akademickiej w serii „Societas”.

Książka ta jest próbą, jak wyjaśnił sam J. Cisek, wypełnienia luki w rodzimej historiografii na polu stosunków polsko–amerykańskich w latach wojny polsko–bolszewickiej. Autor podjął się trudnego zadania, aby kontakty te zaprezentować w jak najszerszym ujęciu — nie zawężając ich jedynie do stosunków dyplomatycznych czy też wojskowych, jak to zazwyczaj miało miejsce do tej pory, ale pokazując pełny obraz wspomnianych relacji występujących pomiędzy obu państwami. Ambitny ten cel, w mojej opinii, udało się J. Ciskowi w pełni zrealizować. Nie oznacza to jednak, że z autorem nie można wejść w pewnych kwestiach w polemikę bądź wytknąć mu kilku błędów i omyłek. I nie chodzi tu wcale o przysłowiowe szukanie dziury w całym. Swego czasu jeden ze znanych i cenionych polskich badaczy stwierdził w kontekście recenzji, iż „niestety ta sztuka jest w zaniku. Dominują omówienia, a nie krytyczne analizy; recenzje pisane są najczęściej przez początkujących historyków, potrzebujących jak najwięcej publikacji przed obroną pracy doktorskiej”⁸. Słowa te, jako że sam jestem młodym — zarówno wiekiem, jak i doświadczeniem — historykiem, mocno zapadły mi w pamięć. Uważam, że niekiedy początkujący badacze są nie tyle niekompetentni, aby poddać należytej krytyce recenzowaną pracę, ile boją się oni podjąć polemikę z tekstem, który wyszedł spod pióra badaczy o ugruntowanej już pozycji, prywatnie często ich mistrzów. Sądzę jednak, że jeśli młody recenzent zachowuje powszechnie uznane standardy tej szlachetnej sztuki, to nie powinien mieć obaw przed podjęciem dyskusji w tych aspektach, gdzie po prostu uważa to za stosowne. Wróćmy więc do pracy J. Ciska.

Ramy chronologiczne książki zamykają się w latach 1919–1921. Rok 1919 przyniósł bowiem takie ważne wydarzenia dla wzajemnych stosunków obu krajów, jak rozpoczęcie Konferencji Pokojowej w Paryżu, przybycie do Warszawy pierwszego amerykańskiego posła Hugh Gibsona, a także „powrót do Paryża Ignacego Paderewskiego, najbardziej dla Amerykanów wiarygodnego reprezentanta Rzeczypospolitej” (s. 14). Rok 1921 zaś to podpisany 18 marca w Rydze pokój kończący wojnę polsko–bolszewicką. Cezury przyjęte przez autora wydają się więc jak najbardziej uzasadnione. Mam jednak wątpliwości co do ich eksponowania w tytule pracy. Zabieg taki świadczyć może o ich kategorycznym stosowaniu na łamach książki, tymczasem rola Stanów Zjednoczonych w kształtowaniu się sprawy polskiej w okresie Wielkiej Wojny jest trudna do przecenienia. Tak też traktuje ją sam J. Cisek, omawiając zresztą dość szeroko politykę Waszyngtonu wobec Polaków i ich zabiegów w celu odzyskania niepodległości w tym czasie, w szczególności w dwóch pierwszych rozdziałach książki.

Licząca 327 stron praca dzieli się w układzie chronologiczno–problemowym na dziesięć rozdziałów poprzedzonych wstępem. Swym zakresem obejmują one ważne okresy dotyczące kształtowania się polskiej państwowości, których cezury wyznaczają takie wydarzenia jak

⁷ J. Cisek, *Amerikanin w Krakowie. Nieznana relacja Hugh Gibsona z 1919 roku*, w: *Myśl i polityka. Księga pamiątkowa dedykowana Profesorowi Jackowi Marii Majchrowskiemu*, t. III, red. B. Szlachta, Kraków 2011; idem, *Amerykański Legion dla Polski? Nieznana karta wojny 1920 roku*, „Zeszyty Historyczne” (Paryż) 1999, nr 130, s. 209–217; idem, *Kościuszko, We Are Here! American Pilots of the Kościuszko Squadron in Defense of Poland 1919–1921*, Jefferson 2002; idem, *Posel Stanów Zjednoczonych Hugh Simmons Gibson o Józefie Piłsudskim w okresie wojny polsko–bolszewickiej 1919–1920*, w: *Naród–państwo. Europa Środkowa w XIX i XX wieku. Studia ofiarowane Michałowi Pułaskiemu w pięćdziesięciolecie pracy naukowej*, red. A. Patek, W. Rojek, Kraków 2006; idem, *Stany Zjednoczone wobec Rzeczypospolitej w okresie wojny z bolszewikami*, w: *Wojna o wszystko. Opowieść o wojnie polsko–bolszewickiej 1919–1920*, red. W. Sienkiewicz, Warszawa 2010.

⁸ J. Eisler, [rec.] A. Friszke, *Polska. Losy Państwa i Narodu 1939–1989*, Warszawa 2003, „Pamięć i Sprawiedliwość” 2003, nr 2/4, s. 390.

otwarcie paryskiej Konferencji Pokojowej, decyzja mocarstw w sprawie wschodnich granic Polski z grudnia 1919 r., wyprawa kijowska, powołanie Rządu Obrony Narodowej, Bitwa Warszawska oraz zakończone pokojem negocjacje ryskie. W pracy umieszczono również wklejkę z trzydziestoma trzema fotografiami przedstawiającymi w głównej mierze pierwszoplanowe postaci gorącego okresu 1919–1921, m.in. I. Daszyńskiego, R. Dmowskiego, F. Focha, H. Gibsona, W. Grabskiego, P. Henrysa, H. Hoovera, I. Paderewskiego, J. Piłsudskiego, T. Rozwadowskiego, M. Weyganda. Książka wzbogacona została także kilkoma mapami. Opatrzona bibliografią, indeksem osobowym i geograficznym, zwieńczona została krótkim zakończeniem i streszczeniem w języku angielskim. Błędem jest brak wykazu skrótów, tym bardziej iż są one na łamach pracy stosowane dość często.

W pierwszym rozdziale J. Cisek zajął się *obsadą placówek dyplomatycznych i wojskowych Stanów Zjednoczonych w Warszawie*. Omawia w nim nie tylko poszczególne osoby, które będą odgrywały pierwszoplanową rolę w amerykańskim poselstwie w okresie konfliktu polsko-bolszewickiego, czyli pierwszego posła H. Gibsona czy też attaché wojskowego mjr./ppłk. E. Farmana, ale również opisuje historię amerykańskiego Departamentu Stanu, a także omawia pokrótce dzieje i strukturę wywiadu wojskowego. W drugiej części rozdziału, co się ma nijak do jego tytułu, autor pochyła się nad kwestią informacji, jakie amerykańska dyplomacja miała na temat problematyki polskiej podczas pierwszej wojny światowej i wkrótce po jej zakończeniu oraz jak tę wiedzę Waszyngton użytkował.

Kolejny rozdział nosi tytuł *Stany Zjednoczone wobec granic Rzeczypospolitej na Konferencji Pokojowej w Paryżu i na forum Rady Najwyższej (styczeń–grudzień 1919)*. J. Cisek, wbrew zaznaczonej w tytule początkowej cezurze, śledzi rozwój stanowiska Stanów Zjednoczonych wobec kwestii polskiej co najmniej od roku 1917. Z analizy przeprowadzonej przez autora wynika, iż sprawa restytucji polskiego państwa w wielu aspektach wiązała się z problemem niemieckiej dominacji na wschodzie Europy. Utworzenie niepodległej Polski stanowiłoby barierę dla „rozlewającego się” na tamtych obszarach pangermanizmu. Jeszcze we wrześniu 1918 r. na tę kwestię zwracał uwagę sekretarz stanu R. Lansing, wcześniej zaś — po przystąpieniu USA do wojny — bliski współpracownik W. Wilsona płk House w rozmowie z brytyjskim ministrem spraw zagranicznych. Oczywiście nie można odmówić samemu Wilsonowi ideowości, również podczas trwania paryskiej konferencji. Uważam jednak, że da się u J. Ciska zauważyć pewne zauroczenie postacią prezydenta USA, które wielokrotnie uzewnętrzniać się będzie na łamach recenzowanej pracy. Autor tłumaczy jego stopniowe, choć coraz głębsze wycofywanie się w sprawach polskich wieloma kwestiami, które źle świadczą o samym Wilsonie jako polityku. Jest rzeczą dla mnie dyskusyjną zdanie, iż „dbałość o włączenie Paktu Ligi Narodów do traktatu pokojowego pozbawiła go możliwości skutecznej walki o pozostałe postulaty” (s. 55). Bardziej prawdopodobnie brzmi teza, iż „[...] dla Wilsona kluczową kwestią pozostawało powołanie do życia Ligi Narodów i dla osiągnięcia tego celu był gotów poświęcić wiele projektów”, którą autor sformułował kilka stron dalej (s. 60). Między „brakiem możliwości” a gotowością „poświęcenia” jest jak dla mnie zasadnicza różnica.

Słabo według mnie wypada również tłumaczenie niektórych poczynań prezydenta Stanów Zjednoczonych, jak np. w przypadku problemu Górnego Śląska, tym, że „[...] doświadczenie negocjacyjne Wilsona nie było zbyt duże, co w konfrontacji z bezwzględnym przeciwnikiem, jakim był Lloyd George, skazywało go na porażkę” (s. 67). Zważywszy na to, iż za plecami amerykańskiego przywódcy, o czym zresztą wielokrotnie wspomina sam autor, stał sztab kompetentnych fachowców gotowych nieść mu w każdej chwili pomoc, z której prezydent często sam rezygnował, nie sposób poważnie potraktować takiego doszukiwania się przyczyn pewnych decyzji i postanowień Wilsona. Podobnie zresztą jak nie można go tłumaczyć przykładowo „śladami narastającego rozczarowania [...] wobec polityki europejskiej i świadome-

go wycofywania się prezydenta z prób jej monitorowania i kształtowania” (s. 80). Wszystko to raczej nie przynosiłoby chluby mężowi stanu, za jakiego Wilson chciał uchodzić. Sądzę, iż Stany Zjednoczone uczyniły dla Polski bardzo dużo, ale czy mogły więcej? Tego już, również J. Cisek, nie rozstrzygniemy. Przedstawianie jednak Wilsona, który jakoby chciał uczynić więcej, ale nie mógł bądź dane mu nie było, jest zabiegiem raczej nieusprawiedliwionym.

Trzeci rozdział, zatytułowany *Początek misji posła Gibsona w Warszawie*, podzielony został na kilka dalszych części, w których autor omówił nie tylko początek samej służby amerykańskiego posła na warszawskiej placówce, ale również wiele innych aspektów związanych z ówczesnymi stosunkami polsko–amerykańskimi. Przedstawił więc sylwetkę Herberta Hoovera i działalność w Polsce Misji Żywnieniowej. Zwrócił także uwagę na ogromną rolę, jaką odegrała w dzwignięciu polskiej gospodarki w tamtym czasie, szczególnie jeśli chodzi o kwestie techniczne i infrastrukturalne, amerykańska Misja Doradców Technicznych. Autor omówił również działalność Misji Zwalczenia Tyfusu w Polsce. Rozważania poczynione przez autora w tej części książki są bardzo ważne nie tylko ze względu na jego świetną znajomość tych kwestii. Chodzi o to, że wciąż bardzo mało docenia się ogromną rolę, jaką w kontekście wojny polsko–bolszewickiej odegrała amerykańska pomoc właśnie w przywołanych powyżej aspektach. Bez wsparcia American Relief Administration, jak się coraz powszechniej przyjmuje, Polska w gorącym okresie 1919–1920 nie poradziłaby sobie. Cieszę się, że autor bardzo wyraźnie to akcentuje. W rozdziale tym J. Cisek przedstawił również plany powołania Legionu Amerykańskiego dla Polski, do którego wstąpić chciała dość spora grupa amerykańskich żołnierzy stacjonujących wówczas w Europie. Skończyło się jedynie, z powodu niechęci do takiego rozwiązania amerykańskiej administracji, która różniła się w pewnych kwestiach z przedstawicielami armii, na utworzeniu Eskadry Kościuszkowskiej.

Rozdziały IV–VII: *Granice Rzeczypospolitej na Wschodzie (grudzień 1919–kwiecień 1920)* (s. 127–164); *Wyprawa kijowska* (s. 165–184); *Rada Obrony Państwa. Rząd Wincentego Witosa (lipiec–sierpień 1920)* (s. 185–208) oraz *Plan polskiej kontrofensywy. Bitwa warszawska i rola gen. Weyganda* (s. 209–222) chronologicznie dotyczą problemu polskich granic wschodnich w polityce wielkich mocarstw od konfliktu z Ukraińcami o Galicję Wschodnią, poprzez kwestię decyzji mocarstw z 8 XII 1919 r. w sprawie wschodniej granicy Rzeczypospolitej, aż po rozstrzygnięcia na froncie polsko–bolszewickim w sierpniu 1920 r. Rozdziały te, jak dla mnie, w książce J. Ciska czyta się najlepiej. Autor bardzo sprawnie porusza się w tych, w większości znanych, zagadnieniach, naświetlając je jednak z amerykańskiej perspektywy. Ta zaś, co J. Cisek nieraz podkreśla, nie była jednorodna. Inne spojrzenie na te sprawy można zaobserwować wśród przedstawicieli Stanów Zjednoczonych w Polsce i Europie, których raporty autor szeroko analizuje, inne w kręgach amerykańskiej armii, inne zaś w końcu w samym Waszyngtonie w środowisku Wilsona, który w pewnym momencie postulował przeprowadzenie plebiscytu we Galicji Wschodniej. Sam autor przyznał, że etnograficzna zasada, którą ten się kierował, „stosowana rygorystycznie przerażała się w karierę postulatów sprawiedliwości w stosunkach międzynarodowych i samostanowienia narodów” (s. 146). Nic dodać, nic ująć. J. Cisek słusznie uwypukla również fakt, iż po zakończeniu paryskiej konferencji i powrocie do Stanów Zjednoczonych Wilsona, a następnie jego współpracowników, wpływ amerykańskiego państwa na sprawy europejskie i rozstrzygnięcia w kwestiach polskich znacznie się zmniejszył. W głównej mierze wykorzystwała to Wielka Brytania, czego skutek Polacy w szczególności mogli zaobserwować w czasie najcięższych zmagania na froncie polsko–bolszewickim w 1920 r.

Bardzo ciekawe są rozważania J. Ciska w sprawie domniemanego autorstwa planu polskiej kontrofensywy gen. Weyganda (s. 217 i n.). Autor częściowo obala funkcjonujący mit, iż za swoisty kult francuskiego dowódcy nie tylko w Polsce, ale również na Zachodzie, odpowiadała Narodowa Demokracja. J. Cisek, analizując zachowane raporty nie tylko amery-

kańskiej placówki, pokazał, iż za przesadnym eksponowaniem roli Weyganda stali właśnie zachodni dyplomaci, pomimo tego, iż — jak przytacza autor — sam Francuz wskazywał Polaków, a imiennie Piłsudskiego jako autora planu. Warto dodać, iż jeszcze pod koniec lat trzydziestych — jak wspominał Michał Sokolnicki — podczas toczony właśnie z nim rozmowy w Turcji Weygand wyglądający w opinii tegoż na „chorego na Polskę” bardzo ubolewał, iż nad Wisłą wciąż trwa na niego nagonka, i zapewniał, że przygotowuje bardzo dokładne wspomnienia dotyczące swej pracy w Warszawie w 1920 r., co też po zakończeniu drugiej wojny światowej rzeczywiście uczynił⁹.

Kolejny rozdział *Nota sekretarza stanu Bainbridge’a Colby’ego z 10 sierpnia 1920 roku* odnosi się nie tylko do słynnego wystąpienia amerykańskiego sekretarza stanu dotyczącego integralności rosyjskiego terytorium w kontekście wojny polsko–bolszewickiej, ale również dotyka kwestii ogólnego stosunku Stanów Zjednoczonych wobec polskiej granicy wschodniej. Autor wskazuje również na wpływ rosyjskiej „białej” emigracji na politykę amerykańską wobec Polski w tym okresie. Pokazuje jednocześnie jej kompletne oderwanie od rzeczywistości w momencie, gdy koncentrowała ona swe interesy na coraz bardziej wyimaginowanych siłach gen. Wrangla i ich znaczeniu kosztem pominięcia żywotnych interesów Polski — państwa, które, co podkreślali szczególnie amerykańscy wojskowi, jako jedyne stanowiło wówczas realną zaporę przed falą bolszewizmu. Była to jednak pewna konsekwencja w poczynaniach amerykańskich polityków. Nie zgadzam się z autorem, iż jak stwierdził trochę wcześniej: „Pozorny brak konsultacji [z Wielką Brytanią — K. K.] — rzeczywisty, co do litery, iluzoryczny, gdy mierzyć zaangażowanie i wolę brania odpowiedzialności za sytuację na wschodzie Europy — doprowadził do pogłębienia braku zaufania Wilsona do polityki angielskiej. W tym fakcie należy upatrywać genezy noty Colby’ego z 10 sierpnia 1920 roku” (s. 195). Tymczasem, jak sądzę, nota amerykańskiego sekretarza była naturalnym zwieńczeniem linii politycznej Wilsona, która swój początek wzięła w jego „czternastu punktach”. Tam to przecież znalazło się zdanie o „terytoriach zamieszkałych przez bezdyskusyjnie polską ludność” mających wejść w skład późniejszego państwa polskiego. Tam to również amerykański prezydent domagał się ewakuacji „całego terytorium rosyjskiego”¹⁰. Jak podaje sam autor, bliski współpracownik Wilsona płk. House twierdził, iż „obrona integralności terytorialnej Rosji miała być według interpretacji prezydenta jednym z moralnych obowiązków Stanów Zjednoczonych, a w przyszłości Ligi Narodów” (s. 139). Obrona, powtórzmy, jak najbardziej konsekwentna. Nawet w momencie, gdy pod Warszawą znajdowały się bolszewickie wojska...

Rozdział IX: *Próba reaktywacji projektu Amerykańskiego Legionu dla Polski w sierpniu 1920 roku* traktuje o kolejnej nieudanej próbie zorganizowania tej formy pomocy dla Polski. W ostatnim zaś rozdziale: *Rokowania o zawieszenie broni oraz pokój w Mińsku i Rydze (sierpień 1920–marzec 1921)* J. Cisek przedstawia polsko–bolszewickie pertraktacje nie tylko jak one wyglądały w rzeczywistości, ale również co o nich wiedzieli i jak je postrzegali amerykańscy dyplomaci i wojskowi.

Podczas przygotowywania pracy J. Cisek przeprowadził bardzo szczegółową kwerendę zarówno w Narodowym Archiwum Stanów Zjednoczonych, jak i w Instytucie Hoovera w Kalifornii. Oprócz tego sięgnął do zasobów U.S. Army Military History Institute w Pensylwanii, Biblioteki Kongresu, Biblioteki Uniwersytetu Yale, w której znajduje się m.in. zbiór dokumentów „Inquiry”, archiwum Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku

⁹ Archiwum Instytutu Polskiego i Muzeum im. Władysława Sikorskiego w Londynie, sygn. A11.E.1504, List Michała Sokolnickiego do Józefa Becka z 19 V 1939 r.

¹⁰ Szerzej o tych kwestiach zob. A. Nowak, *Polska niepodległość i liberalny Zachód*, w: idem, *Od Polski do post-polityki. Intelktualna historia zapaści Rzeczypospolitej*, Kraków 2011, s. 189–200.

oraz kilku archiwów i bibliotek znajdujących się w Polsce. Poza źródłami archiwalnymi bibliografia zawiera liczne źródła drukowane oraz opracowania. Jest ona naprawdę spora i widać, że autor solidnie przygotował grunt pod swe badania. Nie dziwi fakt, iż dominuje w niej literatura anglosaska, w której autor biegle się orientuje; przy czym, warto dodać, J. Cisek nie zaniedbuje również rodzimego dziejopisarstwa. Niemniej można by wskazać kilka pozycji, które według mnie mogłyby, a niekiedy nawet powinny znaleźć się wśród wykorzystanych przez niego prac. Sięgnąć można by było przykładowo po wydane w latach 1997–2005 francuskie źródła dyplomatyczne za okres 1919–1921¹¹. Wśród opracowań brakuje mi przede wszystkim znakomitej pracy J. Borzęckiego, która w Polsce została ogłoszona drukiem w 2012 r.¹², ale wcześniej ukazała się jej angielska wersja¹³. Sam Borzęcki opublikował również kilka lat wcześniej ciekawy szkic dotyczący rokowań mińsko-ryskich¹⁴. Ciekawymi pracami pominiętymi przez autora są również: głośna, szczególnie na Zachodzie, książka M. MacMillan¹⁵, studium M. K. Kamińskiego¹⁶, czy też klasyczne wręcz publikacje R. Pipesa¹⁷ oraz T. Snydera¹⁸.

W pracy można zauważyć również kilka błędów merytorycznych, które zapewne wzięły się z pośpiesznej redakcji tekstu, są one bowiem wręcz szkolne. I tak: pokój w Rydze podpisano 18 III 1921 r., a nie 21 marca (s. 15), plebiscyt na Górnym Śląsku odbył się 20 III 1921 r., a nie 30 marca (ibidem), decyzja Rady Najwyższej w sprawie wschodniej granicy Polski zapadła 8 XII 1919 r., a nie 9 grudnia (ibidem). W dalszej części pracy data ta podawana jest już prawidłowo, z jednym wyjątkiem (s. 198). Gabinet Ignacego Paderewskiego upadł 27 XI 1919 r. (sam premier rezygnację złożył dopiero 4 grudnia), a nie 18 listopada (s. 161). I powstanie śląskie zakończyło się 24 VIII 1919 r., a nie 23 sierpnia (s. 124), II powstanie śląskie z kolei trwało od 19–20 do 25 VIII 1920 r., a nie 18–28 sierpnia (s. 191). Zdarza się również autorowi nie rozwijać skrótów, które pojawiają się w tekście po raz pierwszy (s. 70, 201). Wkradło się do tekstu również kilka nieścisłości — dla przykładu lord Curzon nie mógł 23 VII 1920 r. wyrazić dezaprobaty wobec amerykańskiego ambasadora w Londynie co do jego stanowiska wobec podjętego pięć dni później rozstrzygnięcia w sprawie Śląska Cieszyńskiego (s. 194, 195). W sierpniu 1919 r. w czasie wizyty w Polsce Herbert Hoover nie był prezydentem Stanów Zjednoczonych, jak widnieje w podpisie do jednej z fotografii (fot. 11). W tekście razić mogą także pewne, jak sądzę niepotrzebne, powtórzenia, jak np. kilkukrotne eksponowanie wyjazdu z Europy 9 XII 1919 r. zastępcy sekretarza stanu F. Polka (s. 54, 146, 163), czy też przybycia polskiej delegacji do Mińska 14 VIII 1920 r. (s. 202, 207).

¹¹ *Documents diplomatiques français*, t. I, 1920 (10 janvier–18 mai), Paris 1997; *Documents diplomatiques français*, t. II, 1920 (19 mai–23 septembre), Paris 1999; *Documents diplomatiques français*, t. III, 1920 (24 septembre–15 janvier), Paris 2002; *Documents diplomatiques français*, t. I, 1921 (16 janvier–30 juin), Paris 2004; *Documents diplomatiques français*, t. II, 1921 (1er juillet–31 décembre), Paris 2005.

¹² J. Borzęcki, *Pokój ryski 1921 i kształtowanie się międzywojennej Europy Wschodniej*, Warszawa 2012.

¹³ Idem, *The Soviet–Polish Peace of 1921 and the Creation of Interwar Europe*, New Heaven 2008.

¹⁴ Idem, *Nielatwy kompromis: granica ryska w świetle rokowań w Mińsku i Rydze*, cz. 1, „Arcana” 2004, nr 4–5/58–59, s. 73–92; cz. 2, „Arcana” 2005, nr 1–2/61–62, s. 213–249.

¹⁵ M. MacMillan, *Peacemakers. The Paris Conference of 1919 and Its Attempt to End War*, London 2002.

¹⁶ M. K. Kamiński, *Konflikt polsko–czeski 1918–1921*, Warszawa 2003.

¹⁷ R. Pipes, *Russia under the Bolshevik Regime*, New York 2003.

¹⁸ T. Snyder, *Reconstruction of Nations. Poland, Ukraine, Lithuania, Belarus, 1569–1999*, London 2003.

Doceniając ogromną rolę wystąpień Wilsona ze stycznia 1917 oraz 1918 r. nie zgadzam się z konkluzją autora, iż program zawarty w „czternastu punktach” „uruchomił międzynarodową licytację w sprawie polskiej” (s. 287). Nie sposób bowiem pominąć roli, jaką w tej licytacji odegrał *Akt dwu cesarzy* z 5 XI 1916 r.¹⁹, co zresztą w innym miejscu sam J. Cisek podkreśla (s. 49). Na miejscu autora nie demonizowałbym także roli Stanisława Grabskiego w czasie rokowań ryskich oraz mocno się zastanowił nad stwierdzeniem, iż bolszewicy byli wówczas skłonni poczynić wobec Polski znaczne ustępstwa terytorialne na Białorusi, w tym, co urosło już w rodzimej historiografii do rangi swoistego dogmatu, oddać Rzeczypospolitej Mińsk (s. 265)²⁰.

Te wszystkie drobne uwagi w żaden sposób nie wpływają jednak na moją bardzo pozytywną opinię o książce J. Ciska. Trafiony był zabieg autora, by stosunki Polski ze Stanami Zjednoczonymi przedstawić za pomocą wyeksponowania węzłowych problemów odradzającej się polskiej państwowości z amerykańskiej perspektywy, nie zaniedbując przy tym polskiego spojrzenia, a także innych wielkich graczy ówczesnej europejskiej dyplomacji, czyli Francji i Wielkiej Brytanii. Ogromną zaletą jest także zażyczenie przez Ciska za zamknięte drzwi amerykańskiej polityki na miejscu w Waszyngtonie, dzięki czemu dowiadujemy się m.in. o ogromnym niekiedy wpływie rosyjskiej „białej” emigracji na działania amerykańskiej dyplomacji w przełomowym dla Polski czasie. Wartości poznawcze książki J. Ciska są więc dla mnie bezdyskusyjne. Jej zaletą jest również odautorska narracja. Wielu historyków mających pod ręką taką ilość, w dodatku mało znanych, źródeł mogłoby ulec pokusie nadmiernego epatowania nimi w tekście w postaci cytatów. Autor operuje jednak nimi oszczędnie, a gdy już je stosuje, to wówczas umiejętnie wprowadza je w tekst główny, nadając mu przez to tylko atrakcyjności. Biegłe przy tym poruszanie się J. Ciska po materiałach archiwalnych i literaturze, co zostało już powiedziane, świadczy o gruntownych studiach, jakie podjął nad tym tematem, a co daje się odczuć w sposób pozytywny, obcując z jego pracą. Studiach, dodajmy, dzięki którym polski czytelnik otrzymuje świetną monografię szeroko rozumianych stosunków polsko-amerykańskich w latach 1919–1921, która w sposób znaczący wypełnia lukę w rodzimej historiografii. Taki był też cel autora, który, powtórzmy, udało mu się zrealizować.

Krzysztof Kloc
Kraków

Jerzy Kirszak, *Armia Rezerwowa gen. Sosnkowskiego w roku 1920*, Warszawa 2013, Instytut Pamięci Narodowej. Komisja Ścigania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu, ss. 447, nlb, mapy

Wojna z Rosją sowiecką w latach 1919–1920 była dla odrodzonego państwa polskiego wojną o granicę wschodnią i o pole bezpieczeństwa na wschodzie. W krytycznym momencie, w następstwie politycznego i militarnego niepowodzenia wyprawy kijowskiej, stała się w miesiącach letnich 1920 r. wojną w obronie zagrożonego bytu państwowego. Zwycięstwo

¹⁹ Zob. *Różnymi drogami do niepodległości. Z Krzysztofem Kawalcem, Włodzimierzem Suleją i Pawłem Wieczorkiewiczem rozmawia Marek Gałęzowski*, „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej” 2008, nr 11–12, s. 14, 15.

²⁰ A. Nowak, „Lewa wolna”, *albo o spiskach Piłsudskiego z Leninem*, w: idem, *Historie politycznych tradycji. Piłsudski, Putin i inni*, Kraków 2007, s. 242.

militarne i rozstrzygnięcia polityczne zawarte w traktacie pokojowym w Rydze zdecydowały o jej znaczeniu dla porządku politycznego w Europie Środkowo-Wschodniej, który czasem, nie bez racji, bywa w polskiej historiografii nazywany porządkiem wersalsko-ryskim. Dlatego też ma ona swą rangę w narodowej pamięci i tradycji oraz w polskiej historiografii dziejów najnowszych, zarówno politycznej, jak i wojskowej. Obszerna literatura przedmiotu dotycząca aspektów wojskowych tego konfliktu powstała w przeważającej mierze w latach Drugiej Rzeczypospolitej. Wypracowany wówczas kanon wiedzy na ten temat w dużym stopniu obowiązuje do dzisiaj. Podobnie też dorobek przedwojennej historiografii wojskowej stał się punktem wyjścia, a czasem i podstawą źródłową dla autorów opracowań, które pojawiały się na rynku wydawniczym po 1989 r., nim z biegiem lat dziewięćdziesiątych zaczęto opracowywać i udostępniać badaczom przechowywane w Centralnym Archiwum Wojskowym w Warszawie polskie akta proveniencji wojskowej. W odniesieniu do przebiegu działań wojennych odnosi się to głównie do akt Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego, poszczególnych armii i frontów, a w znacznie już mniejszej mierze — ze względu na niewielki stopień zachowania — do akt oddziałów wojskowych (dywizji, brygad i pułków).

Doceniając dorobek rodzimej historiografii w zakresie badań nad przebiegiem operacji wojennych w 1920 r., warto też mieć na uwadze wciąż jeszcze nieliczne, a bardzo wartościowe monografie poświęcone organizacji i działaniom związków operacyjnych Wojska Polskiego. Należy do nich omawiana praca Jerzego Kirszaka poświęcona Armii Rezerwowej gen. Kazimierza Sosnkowskiego, istniejącej od 25 V do 13 VI 1920 r. Dodajmy: armii, której wysiłek bojowy odegrał istotną rolę w tej wojnie. Doprowadził bowiem do odparcia majowej ofensywy wojsk sowieckiego Frontu Zachodniego na północnym teatrze działań wojennych, co wobec nieuniknionej perspektywy odwrotu na całym froncie dało polskiemu Naczelnemu Dowództwu niezbędny czas na przygotowanie decydującej batalii, ostatecznie na przedpolach Warszawy. Kontrofensywa wojsk Armii Rezerwowej, rozpoczęta z pozycji wyjściowych rozciągających się od Krasławia nad Dźwiną po jezioro Narocz, doprowadziła w dniach od 1 do 10 VI 1920 r. do pobicia i odrzucenia 15 Armii sowieckiej i do ustabilizowania frontu na kilka tygodni nad rzekami Autą i górą Berezyną, nim w początkach lipca ruszyła druga ofensywa wojsk Frontu Zachodniego, dowodzonych przez Michaiła Tuchaczewskiego.

Omawiana monografia jest zmodyfikowaną wersją rozprawy doktorskiej obronionej w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Wrocławskiego w grudniu 2005 r. Stanowi studium organizacji i działań Armii Rezerwowej w okresie od 25 V do 13 VI 1920 r. Przyjęte przez autora cezurę chronologiczną odnoszą się do rozkazów Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego o utworzeniu i rozwiązaniu tego związku operacyjnego. Krótkotrwałość istnienia tej armii wynikała ze stosunkowo szybkiego i sprawnego wykonania zadania, do którego została powołana, tj. likwidacji zagrożenia dla północnego skrzydła całego polskiego frontu rozciągającego się wtedy od Dźwiny do Dniepru, jakie nastąpiło w wyniku postępów majowej ofensywy sowieckiej. Armia Rezerwowa, pod dowództwem odkomenderowanego na ten czas z Warszawy wiceministra spraw wojskowych gen. Sosnkowskiego, zadanie to wykonała. Wśród polskich armii w roku 1920 była szczególnieym związkiem operacyjnym, utworzonym *ad hoc* do wykonania konkretnego zadania, jednego z najważniejszych w trakcie wojny polsko-sowieckiej. Jej krótka historia jest istotnym przyczynkiem do dziejów wojskowości polskiej tego okresu, szczególnie w sensie organizacji i logistyki, dowodzenia na szczeblu operacyjnym i taktycznym oraz działania oddziałów i pododdziałów broni głównych. Dlatego też, bez względu na krótki okres istnienia, zasługiwała wśród polskich związków operacyjnych w 1920 r. na szczególnie wnikliwą monografię.

Autor oparł swą pracę na szerokiej podstawie źródłowej, wykorzystując dostępną polską bazę dokumentalną proveniencji wojskowej, przechowywaną przede wszystkim w CAW, jak też źródła drukowane (edycje dokumentów, publikowane i niepublikowane wspomnie-

nia oraz ówczesna prasa) i fachową literaturę przedmiotu, przede wszystkim polską, ale i szczególnie wartościowe opracowania z kręgu dawnej historiografii sowieckiej i obecnej rosyjskiej. Wykaz wykorzystanych w tej pracy źródeł i literatury uznać można za kompletny. Może jedynie, ze względu na skrupulatność autora, wskazać by można wspomnienia płk. dypl. Józefa Szostaka (*Moja służba Niepodległej. Wspomnienia 1897–1939*, Warszawa 1987), wówczas młodszego oficera w 7 pułku ułanów w 1 Brygadzie Jazdy ppłk. Władysława Beliny–Prażmowskiego, w których znaleźć można krótką, ale bardzo interesującą obserwację z punktu widzenia dowódcy plutonu. Rola literatury przedmiotu była w konstruowaniu narracji tym bardziej istotna, iż polskie akta proveniencji wojskowej dla tego okresu zmagania polsko–sowieckich w 1920 r. zachowały się w CAW w zróżnicowanym stopniu. Jeśli stan zachowania zespołów akt Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego i Dowództwa Armii Rezerwowej pozwala na odtworzenie procesu rozkazodawstwa oraz organizacji i działań armii gen. Sosnkowskiego, to akta dywizji i brygad piechoty i kawalerii oraz niższego szczebla oddziałów piechoty i artylerii są w dużym stopniu zdekompletowane w stosunku do ich stanu z maja i czerwca 1920 r. Dlatego w odniesieniu do działań oddziałów i pododdziałów broni głównych autor niejednokrotnie udanie posiłkował się opracowaniami publikowanymi głównie w latach Drugiej Rzeczypospolitej (tu zwłaszcza historie wojenne pułków), jak i pracami niepublikowanymi, powstałymi wówczas w kręgu Wojskowego Biura Historycznego. Obok tego źródłem wiedzy były licznie zachowane w CAW akta personalne i odznaczeniowe oficerów i żołnierzy Armii Rezerwowej. Interesujące rezultaty — szczególnie w odniesieniu do kolekcji akt oficerów i generałów WP — przyniosła kwerenda w polskich archiwach emigracyjnych: Instytucie Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku i Londynie oraz Instytucie Polskim i Muzeum im. gen. Władysława Sikorskiego w Londynie. Z zasobów krajowych zaś — w zbiorach rękopisów wrocławskiego Ossolineum i Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu. Ponieważ zaś ówczesne polskie meldunki sytuacyjne i raporty wywiadowcze wystarczająco precyzyjnie przedstawiały *ordre de bataille* i działania strony sowieckiej (co znajduje potwierdzenie w wykorzystanej w tej pracy sowieckiej literaturze przedmiotu i źródłach drukowanych), dlatego można przyjąć, iż autor mógł w tej sytuacji zrezygnować z przeprowadzenia kwerendy w Rosyjskim Państwowym Archiwum Wojskowym (RGWA) w Moskwie, która ze względu na stan zachowania akt Armii Czerwonej z tego okresu musiałaby być długotrwała, za to bez rękojmi pozyskania takich informacji, które miałyby istotne znaczenie dla tej monografii. To jednak nie zmienia faktu, iż dla przeprowadzenia gruntownych badań nad wojną polsko–sowiecką z lat 1919–1920 r. szeroko zakrojona kwerenda akt Armii Czerwonej w RGWA będzie w przyszłości dla polskich historyków koniecznością.

Omawiana praca składa się z siedmiu rozdziałów ujętych w układzie chronologiczno–problemowym. W dwóch pierwszych rozdziałach omówiono sytuację operacyjną na obszarze Frontu Litewsko–Białoruskiego gen. Stanisława Szeptyckiego przed sowiecką ofensywą majową oraz przebieg walk odwrotowych polskiej 1 Armii z 15 Armią sowiecką w dniach 14–30 V 1920 r. W rozdziale trzecim przedstawiono powstałą w Naczelnym Dowództwie WP koncepcję zwrotu zaczepnego na zagrożonym północnym skrzydle polskiego frontu oraz szybki proces formowania Armii Rezerwowej, która miała się stać zasadniczym elementem kontrofensywy mającej na celu wyrównanie linii frontu przez osiągnięcie poprzednich pozycji nad Autą i Berezyną. W kolejnych trzech rozdziałach przeanalizowano działania Armii Rezerwowej w dniach 1–13 VI 1920 r., w których wyniku jej oddziały doprowadziły do zahamowania ofensywy sowieckiej, odrzucenia wojsk sowieckiej 15 Armii i odzyskania uprzednich polskich pozycji utraconych w maju. Nie było to jeszcze punktem zwrotnym w wojnie, lecz bez czerwcowego sukcesu armii gen. Sosnkowskiego o ostateczne polskie zwycięstwo byłoby w miesiącach letnich i jesiennych 1920 r. z pewnością znacznie trudniej. Ostatni, siódmy rozdział, autonomiczny w stosunku do pozostałych, poświęcony został działaniom

lotnictwa Armii Rezerwowej — zarówno bardzo ważnym lotem wywiadowczym, jak i bombardującym. Jest to tym bardziej istotne, że działania lotnictwa polskiego w wojnie z 1920 r. nadal pozostają tematyką w wielu ważnych kwestiach stosunkowo mało zbadaną.

Wartość pracy podnoszą aneksy, zawierające obsadę personalną Armii Rezerwowej według stanu na dzień 3 VI 1920 r. (tam, gdzie to było możliwe, nawet do szczebla plutonu), wykaz jej zidentyfikowanych poległych oraz zmarłych z ran i chorób oficerów i żołnierzy w okresie od 25 V do 15 VI 1920 r., wykaz odznaczonych Orderem Wojskowym *Virtuti Militari* i Krzyżem Walecznych za walki Armii Rezerwowej oraz rozkazy organizacyjne i operacyjne dowództwa armii. Zestawienie tych danych w obszernych aneksach obok tego, iż ułatwia lekturę pracy, jest też istotnym osiągnięciem badawczym jej autora, wkładem do badań nad dziejami militarnymi wojny polsko-sowieckiej i wojskowości polskiej tego okresu. Notabene, studiując obsadę kadrową oddziałów Armii Rezerwowej, znajdziemy tam, podobnie jak w tekście głównym, wiele nazwisk oficerów odgrywających później znaczącą rolę w armii Drugiej Rzeczypospolitej. Część z nich trafiła we wrześniu 1939 r. do niewoli sowieckiej i wiosną 1940 r. została zamordowana w Katyniu, Charkowie i Miednoje. Pracę, obok obszernej bibliografii, zaopatrzone w wykaz tabel, wykaz skrótów, indeks osób i indeks geograficzny. Ten ostatni, niezbędny w tego rodzaju opracowaniu, jest też świadectwem benedyktyńskiej pracy autora w zakresie ujednolicania bardzo licznych nazw miejscowych i geograficznych występujących w ówczesnych źródłach (mapy, dokumenty proveniencji wojskowej, relacje), czasem nawet w kilku różnych brzmieniach. Weryfikację tych nazw przeprowadzono w oparciu o mapy opracowane w Wojskowym Instytucie Geograficznym w latach dwudziestych i trzydziestych. Wartością dodaną jest kilkadziesiąt zamieszczonych na końcu książki fotografii i szkiców sytuacyjnych. Wśród zdjęć są także te, które przedstawiają współczesny obraz polskich cmentarzy wojennych z 1920 r. i miejsc walk oddziałów Armii Rezerwowej na obszarze dawnych powiatów brasławskiego, dziśnieńskiego, głębockiego, postawskiego i święciańskiego. Do pracy dołączono też opracowane w WIG w 1924 i 1933 r. mapy obszarów „Wilejka” oraz „Głębokie–Dyneburg”.

Zgromadzony przez autora zasób źródeł dokumentowych i literatury przedmiotu pozwolił na zrekonstruowanie organizacji i działań Armii Rezerwowej w okresie od 25 V do 13 VI 1920 r. Odnosi się to do struktury, obsady kadrowej, rozkazodawstwa, dowodzenia na szczeblu operacyjnym i taktycznym, uzbrojenia i wyposażenia, przebiegu operacji każdego dnia oraz walki oddziałów i pododdziałów. Omawiając operacje wojsk Armii Rezerwowej każdego dnia ofensywy, przedstawiono działania poszczególnych wielkich jednostek broni głównych (piechoty i kawalerii), wydarzenia w sztabie armii oraz sytuację przeciwnika, tj. 15 Armii sowieckiej. Obok odnalezionych przez autora niemal w całości rozkazów operacyjnych dowództwa armii gen. Sosnkowskiego oraz pozostałej dokumentacji wytworzonej przez sztab armii, jak też polskiej i sowieckiej literatury przedmiotu, głównie z lat dwudziestych i trzydziestych, ważną rolę w przeprowadzonej przez autora starannej rekonstrukcji wydarzeń odegrały niepublikowane opracowania powstałe w kręgu Wojskowego Biura Historycznego — tym bardziej że były efektem pilnego studiowania przebiegu działań wojennych w 1920 r. nie tylko z perspektywy historycznej, ale i z myślą o przyszłej wojnie, która — jak sądzono — na kierunku wschodnim w wielu aspektach mogła wyglądać podobnie jak latem i jesienią 1920 r.

Z lektury omawianej pracy wyłania się obraz armii, która choć utworzona *ad hoc*, dla zażegnania trudnej dla strony polskiej sytuacji na północnym teatrze działań wojennych była dobrze zorganizowana i dowodzona. Walor dobrego dowodzenia odnosił się zarówno do jej dowódcy — gen. Kazimierza Sosnkowskiego — jak i dowódców wielkich jednostek piechoty i kawalerii oraz oddziałów niższego szczebla, przy dobrej ogólnie pracy sztabów. Wysoką ocenę wystawia autor korpusowi oficerskiemu wszystkich szczebli oraz podofice-

rom i żołnierzom Armii Rezerwowej, co wydaje się zasadne nie tylko ze względu na ich liczenie przytaczane — w oparciu o akta odznaczeniowe w CAW — czyny bojowe, ale i fakt, że Wojsko Polskie było wtedy wciąż jeszcze młodą armią, kształtującą się dopiero w koszarach i na placach ćwiczeń oraz w ogniu walki. Widać to także w działaniach tego szczególnego związku operacyjnego, jakim była Armia Rezerwowa. To wojsko, wśród ciągłych problemów z zaopatrzeniem i w terenie wyjątkowo niesprzyjającym sprawnej logistyce i skutecznym działaniom ofensywnym, potrafiło w zasadniczej mierze wykonać postawione przed nim zadania i osiągnąć założone cele operacyjne, a na szczeblu oddziałów i pododdziałów radzić sobie w niekiedy bardzo trudnych sytuacjach bojowych. Dlatego należy zgodzić się z autorem omawianej pracy, gdy polemizując z ówczesnymi poglądami niektórych polskich wyższych wojskowych o połowicznym sukcesie ofensywy Armii Rezerwowej — albowiem oddziały 15 Armii sowieckiej udało się odrzucić za linię Berezyny i Auty, lecz nie odciąć i zniszczyć — stawia tezę, iż rozmiar sukcesu był stosowny do warunków terenowych i logistycznych prowadzonej operacji oraz rozporządzalnych sił i środków (tj. zarówno sił żywych, jak i wsparcia ogniowego). W dniach 1–5 VI 1920 r. działania Armii Rezerwowej doprowadziły do pobicia 15 Armii sowieckiej, by do 10 czerwca osiągnąć pozycje nad Autą i górą Berezyną, po czym przejść na tych pozycjach do obrony wskutek pogorszenia się położenia operacyjnego wojsk polskich na froncie ukraińskim. Sukces armii gen. Sosnkowskiego pozwolił odsunąć zagrożenie dla północnego skrzydła polskiego frontu w maju i czerwcu, a przez to ułatwił w miarę skoordynowany odwrót sił polskich na linię Bugu i z kolei Wisły, skąd w sierpniu 1920 r. ruszyć mogła kontrofensywa, decydująca o wyniku tej wojny.

Książka Jerzego Kirszaka jest dobrze napisaną monografią ważnego w wojnie 1920 r. polskiego związku operacyjnego, jakim była Armia Rezerwowa. Rekonstruując skrupulatnie organizację i działania bojowe tej armii, stanowi ważny wkład do badań nad militarnymi aspektami wojny polsko–sowieckiej w latach 1919–1920 — przede wszystkim w odniesieniu do Wojska Polskiego, ale w pewnej mierze i do Armii Czerwonej. Tym bardziej, że wiedza o codziennym funkcjonowaniu wojsk obu przeciwników w tej wojnie wciąż jest bardzo niewystarczająca. Jeśli coś może miejscami budzić wątpliwości, to opis niektórych przynajmniej sukcesów polskich oddziałów i pododdziałów w sytuacji znaczącej przewagi nieprzyjaciela, w dodatku przy niskich stratach własnych (np. s. 83, 91, 127). Świadczyłyby to albo o niskich stanach osobowych sowieckich pułków strzeleckich i pododdziałów niższego szczebla, albo o ich nie najwyższym w tych dniach morale. To właśnie przykład konieczności badania akt oddziałów Armii Czerwonej z 1920 r. Wprawdzie w wypadku omawianej pracy nie było to warunkiem *sine qua non*, jednak bez kwerendy tej dokumentacji nie będziemy mieli pełnej wiedzy o realiach polsko–sowieckich zmagania w 1920 r. Dogłębnej kwerendy wymagają też wojskowe archiwalia polskie — o czym świadczą liczne interesujące ustalenia autora omawianej pracy — zarówno w odniesieniu do sfery działań bojowych, jak i rozlicznych elementów frontowej codzienności. Tym bowiem, czego we współczesnej rodzimej literaturze przedmiotu w odniesieniu do wojny z lat 1919–1920 mimo wszystko brakuje, jest szczególnie wiedza o Wojsku Polskim z tamtego okresu, jak też ogląd tej wojny z perspektywy żołnierza. Regułą bowiem jest opisywanie działań oddziałów, a żołnierz i jego wojskowe środowisko pozostają właściwie anonimowi. Mając więc na względzie konieczność dalszych badań nad dziejami militarnymi wojny polsko–sowieckiej z 1920 r., warto postawić postulat bliższego przyjrzenia się uczestnikom tej wojny: żołnierzom i oficerom regularnej armii polskiej i wspomagających ją oddziałów ochotniczych. Podobnie zresztą uczestnikom pozostałych wojen o granice, w tym — niezależnie od istniejących słowników biograficznych — powstańcom wielkopolskim i śląskim. Odrębną kwestią w badaniach nad wojną z 1920 r. jest stosunek wojska do ludności cywilnej, zwłaszcza na terenach wschodnich. Tym bardziej, że jest to sfera właściwie dotąd niezbadana. Ciekawym tropem w odniesieniu do sytuacji

na tyłach Armii Rezerwowej są podane przez autora omawianej pracy przykłady polskich zarządzeń ostrzegawczych dla ludności miejscowej w związku z ciągłym uszkodzaniem linii telefonicznych (wprawdzie głównie przez niedobitków sowieckich), czy też rekwizycji i rabunków będących dziełem żołnierzy z oddziałów własnych (s. 196, 197). Dyscyplina w szeregach Wojska Polskiego, zarówno poza ścisłym obszarem działań bojowych, jak i w obliczu nieprzyjaciela, również stanowi temat dotąd niezbadany, a wyniki takich badań byłyby ważnym źródłem wiedzy o tej armii.

Na koniec kilka spostrzeżeń wartych odnotowania. Dowódca 1 pułku szwoleżerów mjr Gustaw Orlicz–Dreszer leczył się po wyprawie kijowskiej z ran odniesionych nie pod Kijowem (s. 81), lecz pod Malinem. Trudno rozstrzygnąć, czy dowódca 159 pp Antoni Nieborak miał w trakcie czerwcowej ofensywy Armii Rezerwowej stopień porucznika (s. 91, 92, 114, 129) czy jednak kapitana, jak wynikałoby z wykazu obsady kadrowej tej armii (s. 63, 254). Cytując fragment rozkazu dowództwa Armii Rezerwowej z 7 VI 1920 r. nakazującego wobec zbliżającego się plebiscytu na Warmii i Mazurach (11 VII 1920 r.) „natychmiastowe odesłanie wszystkich żołnierzy tak w wieku niepoborowym, jak i poborowym pochodzących z Warmii lub Mazowsza [*sic!*], a mających prawo do głosowania, do odnośnych oddziałów zapasowych celem zdemobilizowania ich na czas plebiscytu” (s. 177), autor słusznie zwrócił uwagę na słowo „Mazowsze” w kontekście tego plebiscytu, mogące być dla współczesnego czytelnika mylące. Warto zatem wyjaśnić, iż w owym czasie często na określenie Mazur używano pojęcia „Mazowsze Pruskie”. Tak też, jak się wydaje, należy rozumieć znaczenie słowa „Mazowsze” w przywołanym przez autora fragmencie tego rozkazu.

Reasumując, powstała bardzo ważna praca poświęcona armii funkcjonującej przez czas wprawdzie krótki, lecz jednej z najważniejszych dla polskiego wysiłku wojennego w 1920 r. Jest monografią Armii Rezerwowej jako związku operacyjnego i jednocześnie analizą przeprowadzonej przez tę armię kontrofensywy, wykonanej w krytycznym dla wojsk polskich momencie tej wojny i mającej w perspektywie istotne znaczenie dla ostatecznego polskiego zwycięstwa militarnego. Stanowi też ciekawie zarysowany szkic do portretu zbiorowego jej oficerów i żołnierzy, którzy w niesprzyjających warunkach terenowych i mimo permanentnych problemów z zaopatrzeniem i łącznością wykonali postawione przed Armią Rezerwową ważne i trudne zadanie. W tym sensie praca Jerzego Kirszaka, stanowiąc wzór dla kolejnych monografii polskich związków operacyjnych w 1920 r., jest też istotnym wkładem do badań nad całokształtem polskiego wysiłku wojennego w konflikcie zbrojnym, którego rezultat na lat bez mała dwadzieścia pozwolił na dalsze istnienie dopiero co odrodzonego państwa.

Przemysław Olstowski
Toruń

Michał A. Piegzik, *Holenderskie Indie Wschodnie 1941–1942*, Warszawa 2014, Wydawnictwo Bellona, ss. 333

Przypadająca w 2014 r. siedemdziesiąta piąta rocznica wybuchu drugiej wojny światowej sprzyja wzrostowi zainteresowania dziejami tego największego w historii ludzkości konfliktu zbrojnego. Wśród wielu prac poświęconych temu tematowi szczególną uwagę zwraca recenzowana monografia. O ile działania na europejskim teatrze wojennym były przedmiotem analizy wielu polskich historyków wojskowości, o tyle konflikt na Dalekim Wschodzie pozostawał w cieniu, gdy chodzi o krajowe badania naukowe. Wyjątkiem były prace Zbigniewa

Flisowskiego¹, a wśród historyków młodszego pokolenia monografie autorstwa Jarosława Jastrzębskiego i Jakuba Polita².

Z zadowoleniem należy powitać opublikowane nakładem Wydawnictwa Bellona opracowanie Michała A. Piegzika dotyczące kampanii w Holenderskich Indiach Wschodnich (grudzień 1941–marzec 1943). Autor nie jest debiutantem. Rok wcześniej ukazała się jego bardzo interesująca monografia dotycząca kampanii wokół Guadalcanal³.

W swej najnowszej pracy Piegzik umiejętnie i harmonijnie łączy narrację dotyczącą działań na morzu i lądzie. Jest to korzystne rozwinięcie tematu na tle opracowań wspomnianego już Z. Flisowskiego, a także monografii Tadeusza M. Gelewskiego⁴, którzy koncentrowali się na działaniach flot alianckich i japońskiej. W swej monografii M. A. Piegzik oparł się o liczne źródła japońskie. Jest to mocna strona tej pracy, gdyż dotychczas polscy, ale i zachodni autorzy przedstawiali działania na Pacyfiku głównie z amerykańskiej perspektywy. Wyłomu w tej manierze dokonał w Polsce Jarosław Jastrzębski, wypada z zadowoleniem zauważyć, że podobną ścieżką podąża M. A. Piegzik.

Jednak fakt ten nie powinien zwalniać autora od starannej kwerendy bibliotecznej i uwzględnienia w książce opracowań innych autorów. Wymienić należałoby na pierwszym miejscu pracę Jeffreya P. Coxa, którego książka rzuca wiele nowych spojrzeń na tę kampanię. Szczególnie cenne są jego uwagi dotyczące holenderskich admirałów Conrada Helfricha oraz Karela Doormana⁵. Uwaga ta dotyczy także amerykańskich opracowań źródłowych⁶ oraz monografii okrętów uczestniczących w tej kampanii⁷. Jak zauważa autor: „niniejsza praca ma za zadanie rzucić nowe spojrzenie na kampanię w Holenderskich Indiach Wschodnich oraz wyjaśnić kwestie, których do tej pory nie udało się ująć w szerszym opracowaniu” (s. 6). Autor zatem postawił sobie ambitne zadanie, z którego niestety nie do końca się wywiązuje.

W rozdziale pierwszym, przedstawiając potencjał obu stron, M. A. Piegzik miał znakomitą okazję, by przybliżyć polskiemu czytelnikowi holenderską Królewską Marynarkę Wojenną okresu międzywojennego, a uczynił to dość pobieżnie, nie wnosząc nowych, istotnych informacji (s. 60–91). A historia Koninklijke Marine (hol. Królewska Marynarka) w pełni na to zasługuje.

Na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych XX stulecia trzon holenderskiej floty stanowiły dwa krążowniki lekkie „Java” i „Sumatra”, osiem niszczycieli typu „Van Ghent” oraz kilkanaście okrętów podwodnych. Były to jednostki dość nowoczesne, ale dalece niewystarczające wobec Cesarskiej Marynarki Japońskiej, wówczas trzeciej potęgi morskiej świata.

Incydent w Mandzurii (Mukden) w 1931 r. uzmysłowił rządowi holenderskiemu zagrożenie ze strony Tokio. Pomimo światowego kryzysu ekonomicznego minister obrony Holandii Laurentius Nicolaas Deckers opracował ambitny plan rozbudowy floty. Przewidywał on na początku budowę trzech krążowników lekkich oraz ośmiu dużych niszczycieli. Gry strategiczne

¹ Z. Flisowski, *Burza nad Pacyfikiem*, t. I, II, Poznań 1986–1989.

² J. Jastrzębski, *Bitwa na Morzu Koralowym 2–8 V 1942*, Zabrze–Tarnowskie Góry 2013; idem, *Midway*, Warszawa 2014; idem, *Pearl Harbor 1941*, Warszawa 2011; J. Polita, *Gorzki triumf. Wojna japońsko–chińska 1937–1945*, Kraków 2013.

³ M. A. Piegzik, *Guadalcanal 1942–1943*, Warszawa 2013.

⁴ T. M. Gelewski, *Bitwa na Morzu Jawajskim*, Gdańsk 1984.

⁵ J. P. Cox, *Rising Sun, Falling Skies. The Disastrous Java Sea Campaign of World War II*, Oxford 2014.

⁶ *The Java Sea Campaign. Combat Narratives Office of Naval Intelligence United States Navy*, North Charleston 2013.

⁷ M. Stille, P. Wright, *Imperial Japanese Navy Heavy Cruisers 1941–1945*, Oxford 2011; J. Jastrzębski, Z. Rzepka, *Flota japońskich krążowników ciężkich*, „Okręty Wojenne” 2011, nr spec. 37, s. 53–66.

prowadzone w sztabie marynarki holenderskiej doprowadziły do następujących wniosków: Jeżeli Japonia zdecyduje się na agresję wobec Indii Holenderskich, to konflikt ten oznaczać będzie również wojnę Cesarstwa z USA i Wielką Brytanią. Analitycy Koninklijke Marine bardzo trafnie przewidzieli działania Cesarskiej Marynarki na akwenach otaczających Indie Holenderskie. Uznali, że pancerniki oraz lotniskowce spod bandery Wschodzącego Słońca związane zostaną działaniami przeciw Royal Navy oraz US Navy. Dlatego — jak słusznie przewidzieli — do akcji w Archipelagu Indonezyjskim Japończycy użyją jako wsparcia ciężkich krążowników. W holenderskiej admiralicji uznano, że budowa okrętów tej klasy jako przeciwwagi dla cesarskiej floty byłaby błędem. W drugiej połowie lat trzydziestych narodził się pomysł zbudowania dla floty holenderskiej krążowników liniowych (nazywanych też najcięższymi) przewyższających klasyczne krążowniki typu waszyngtońskiego o wyporności do 10 000 ton, z działami kalibru 203 mm artylerii głównej. Tak powstał „projekt 1047” okrętu o parametrach zbliżonych do niemieckiego typu „Gneisenau” i amerykańskiego „Alaska”.

Według owego projektu okręt miał mieć standardowo 27 500 ton wyporności, potężne turbiny o mocy 180 000 KM powinny mu zapewnić prędkość w granicach 34–35 węzłów. Uzbrojenie główne składać się miało z dziewięciu dział kalibru 283 mm (Holendrzy planowali zakupić je w Niemczech), a artylerię średnią tworzyć miało dwanaście uniwersalnych, automatycznych dział szwedzkiego Boforsa kalibru 120 mm. Pancierz grubości do 225 mm zabezpieczał przed pociskami kalibru 203 mm. Krążownik liniowy „projektu 1047” miał posiadać na wyposażeniu aż sześć wodnosamolotów, z czego trzy powinny być dostosowane do funkcji myśliwskich⁸. Okręty o takich parametrach stanowiłyby śmiertelne zagrożenie dla japońskich ciężkich krążowników, które ze względu na prędkość maksymalną przeciwnika nie byłyby w stanie uchylić się od walki. W sprzyjających warunkach mogłyby nawet walczyć z japońskimi krążownikami liniowymi typu „Kongō”. Niemieckie działa kalibru 283 mm najnowszej konstrukcji miały bowiem o 1500 m dłuższy zasięg od przestarzałych już dział Vickersa kalibru 356 mm, w jakie wyposażone były okręty japońskie.

Plany „projektu 1047” ukończono z początkiem 1939 r., zajęcie Holandii przez Wehrmacht w 1940 r. położyło kres temu przedsięwzięciu. Z planu Deckersa do 1940 r. ukończono tylko dwa lekkie krążowniki („De Ruyter” i „Tromp”), częściowo gotowy był bliźniak „Trompa” („Jacob van Heemskerck”) i dwa niszczyciele. Krążownik i jeden z niszczycieli („Isaac Sweers”) udało się ewakuować do Wielkiej Brytanii. Dwa pozostałe zniszczono na pochylniach, a jeden („Gerard Callenburgh”) został przez Niemców podniesiony i wcielony do Kriegsmarine.

W kluczowej części książki do narracji dotyczącej bitwy na Morzu Jawajskim (s. 224–246) autor w zasadzie nie wnosi nic nowego, powielając jej przebieg tak, jak to ma miejsce w cytowanych wyżej pracach Flisowskiego oraz Gelewskiego. Tymczasem odpowiedź na pytanie, czy mógł wnieść nowe akcenty do narracji, wydaje się twierdząca.

Po pierwsze, krytyka kontradmirała Takagi Takeo za zbyt zachowawcze dowodzenie (autor powiela opinie przytaczane przez Flisowskiego) jest za daleko idąca. Japoński admirał dowodził nie tyle zespołem uderzeniowym, ile siłami eskorty. Zapewnienie bezpieczeństwa statkom z oddziałami desantowymi Cesarskiej Armii miało absolutny priorytet. I z tego zadania Takagi wywiązał się w stu procentach. Nie można przy tym zapominać, że pojedynek artyleryjski toczony był na granicy zasięgu dział ciężkich krążowników, bo tylko zachowanie dystansu pozwoliło zespołowi japońskiemu na utrzymanie przewagi. W tej sytuacji uszko-

⁸ J. S. Noot, *Battlecruiser: Design studies for the Royal Netherlands Navy*, „Warship International” 1980, nr 3, s. 242 i n.

dzienie „Exetera” (i wyłączenie tego krążownika z walki) było sukcesem. Nie wspominając już o akcji nocnej, która zaowocowała zatopieniem „De Ruytera” i „Javy”.

Po drugie, autor mógł znacznie wnikliwiej i sprawdziwiej poddać analizie dowodzenie holenderskiego kontradmirała Karela Doormana w czasie bitwy na Morzu Jawajskim. Przecież w Holandii ma on status bohatera narodowego, a jego imię nosiły dwa holenderskie lotniskowce, fregata, a obecnie okręt wsparcia desantowo–logistycznego.

Zespół, którym dowodził, składał się z okrętów pochodzących z aż czterech flot — amerykańskiej, australijskiej, brytyjskiej i holenderskiej. Okręty te tworzyły grupę uderzeniową, która wcześniej ze sobą nie współdziałała, została powołana *ad hoc*. Ciężkie krążowniki „Haguro” i „Nachi” współdziałały ze sobą od lat, należąc jako jednostki bliźniacze do tej samej 5 Flotyli Krążowników Cesarskiej Floty. W analizie bitwy zabrakło szczegółów taktyczno–technicznych. Po stronie japońskiej było dwadzieścia dział kalibru 203 mm (po dzieśięć na każdym krążowniku) oraz czternaście dział kalibru 140 mm na lekkich krążownikach („Jintsu” i „Naka”), a w zasadzie dwanaście, bo ogień na jedną burtę mogło prowadzić tylko sześć dział. Po stronie alianckiej było dwanaście dział kalibru 203 mm (na „Exeterze” sześć i tyle samo na „Houstonie”, bo jego rufowa, trójdziałowa wieża była uszkodzona), następnie osiem dział kalibru 152 mm na „Perth” oraz siedemnaście dział kalibru 150 mm (rzeczywisty kaliber to 149,1 mm) na „De Ruyter” i „Javie”, przy czym ta ostatnia mogła prowadzić ogień na jedną burtę tylko z ośmiu dział.

Pozornie przewaga siły ognia była po stronie alianckiej. Ale tylko pozornie. W rzeczywistości bowiem zasięg japońskich dział kalibru 203 mm wynosił 29 tys. metrów, amerykańskich tego samego kalibru — 27,5 tys. metrów, a brytyjskich około 28 tys. metrów. Artyleria „Perth” miała zasięg około 23, 5 tys. metrów, holenderskich krążowników tylko 22 tys. metrów i była porównywalna z zasięgiem dział krążowników typu „Jintsu”. Ponadto japońskie dalecełowniki były lepsze od alianckich⁹.

Poza tym japońskie krążowniki ciężkie były szybsze od alianckich (34, nawet 35 węzłów wobec 31–32). Kontradmirał Takagi mógł zatem trzymać bezpieczny dla siebie dystans ze wszystkimi tego dla przebiegu bitwy konsekwencjami. W rzeczywistości taktyczna przewaga była więc po stronie japońskiej i wobec tego faktu Doorman okazał się po prostu bezradny.

Recenzent ma wrażenie, że autor zdecydowanie lepiej czuje się w opisie działań lądowych, co do których nie można mieć większych zastrzeżeń. Sytuacja się komplikuje, gdy chodzi o sprawy morskie i do pewnego stopnia lotnicze.

Seria „Historyczne bitwy” Wydawnictwa Bellona adresowana jest do szerokiego kręgu odbiorców, więc autor powinien z góry założyć, że po jego książkę sięgnie także mało zorientowany w temacie czytelnik. Dlatego też przy opisie ataku na kanonierkę „Panay” w listopadzie 1937 r. (s. 22, 23), mógłby zamieścić odnośnik, że owe „trzy Jean”, to w rzeczywistości pokładowe samoloty szturmowe „Yokosuka B4Y” startujące z pokładu lotniskowca „Kaga”, o czym nie wspomniał. W odsyłaczu powinna znaleźć się informacja dla czytelnika o liście maszyn japońskich (wraz z ich alianckimi kryptonimami) ze s. 315. Dalej, gdy autor przytacza na s. 33 raport ówczesnego komandora podporucznika (a nie kapitana marynarki, o czym niżej) Arthura Howarda McColluma, powinien wspomnieć, że oficer ten był w 1940 r. szefem sekcji Dalekiego Wschodu wywiadu US Navy.

Niestety, autor zupełnie gubi się w stosowaniu oficerskich stopni wojskowych w marynarkach alianckich i japońskiej. A przecież mógł sięgnąć po sprawdzony wzór stworzony przez nieodżałowanej pamięci Pawła Wieczorkiewicza¹⁰.

⁹ J. Campbell, *Naval Weapons of World War II*, Annapolis 1985, s. 173 i n.

¹⁰ P. P. Wieczorkiewicz, *Historia wojen morskich*, t. II, *Wiek pary*, Londyn 1995, aneksy.

Otóż stopnie wojskowe marynarzek obcych należy tłumaczyć pod kątem ich adekwatności w marynarce wojennej RP. I tak wspomniany już A. H. McCollum był w 1940 r. (s. 33, 34) komandorem podporucznikiem (ang. *Lt. Commander*), a nie kapitanem marynarki. Dalej na s. 175 autor, wspominając o komandorze Fuchidzie Mitsuo, degraduje go o jeden stopień. Ten dowodzący statkiem na Pearl Harbor oficer otrzymał 1 XI 1941 r. awans na stopień komandora porucznika (jap. *Kaigun Chūsa*), nie mógł więc podczas kampanii jawańskiej być komandorem podporucznikiem. Aż o dwa stopnie został zdegradowany dowódca niszyciela „Electra”, komandor porucznik (ang. *Commander*) Cecil Le May, który według autora (s. 236) jest tylko kapitanem marynarki. Zdarzył się także autorowi jeden przedwczesny awans. Chodzi tu o szefa sztabu Połączonej Floty Ugakiego Matome, który w czasie omawianej kampanii był jeszcze kontradmirałem (jap. *Kaigun Shōshō*) (s. 117), podczas gdy awans na wiceadmirała (jap. *Kaigun Chūjō*) otrzymał dopiero 1 XI 1942 r.¹¹

Poza tym zdarzają się autorowi liczne potknięcia stylistyczne i językowe, np. s. 48 „siły alianckie zostały zredukowane do jedynie jednego pancernika” lub (s. 113) „salwa złożona z 1 torpedy”, gdy w rzeczywistości salwa to jednoczesny wystrzał z co najmniej dwóch luf lub — jak w tym wypadku — dwóch rur torpedowych. Pewnym usprawiedliwieniem może być fakt, że wybitnemu znawcy tematu Zbigniewowi Flisowskiemu obce stopnie wojskowe także się myliły. Jeżeli autor zamierza wzorem poprzednika wydawać kolejne prace poświęcone kampanii na Dalekim Wschodzie podczas drugiej wojny światowej, będzie musiał poświęcić tym kwestiom więcej uwagi.

Pomimo przytoczonych wyżej uwag krytycznych praca jest godna polecenia wszystkim, którzy interesują się wojną na Pacyfiku. Recenzent z niecierpliwością oczekiwać będzie kolejnych opracowań Michała A. Piegzika.

Roman Kochnowski
Kraków

Henry Kissinger, *O Chinach (On China)*, London 2011), Warszawa 2014, Wydawnictwo Czarne, ss. 584

Henry Kissinger przeszedł do historii nie tylko jako najpotężniejszy w latach siedemdziesiątych minister spraw zagranicznych prezydentów Nixona i Forda, (wcześniej był doradcą ds. bezpieczeństwa tego pierwszego, a potem specjalnym konsultantem kolejnych szefów rządów USA ds. Chin), ale i błyskotliwy historyk–analityk harwardzkiego uniwersytetu. Cynizm jego uniwersalnych spostrzeżeń o polityce i relacjach międzynarodowych wszedł do dziedzictwa kanonu sztuki rządzenia, wyrażając się choćby w zapytaniu, „jaki numer telefoniczny ma UE”¹, czy też w stwierdzeniu, że „władza jest najsilniejszym afrodyzjakiem”²,

¹¹ E. Hyot, *The Last Kamikaze. The Story of Matome Ugaki*, Westport 1993, s. 112. Jednocześnie trzeba zwrócić uwagę na niekonsekwencję autora, bo np. dowódcy krążownika „Exeter” Oliverowi Gordonowi przypisuje prawidłowo stopień pełnego komandora (ang. *captain*) i podobnie jest w wypadku dowódcy USS „Houston” kmdr. Alberta Harolda Rooksa.

¹ Spiegel Interview with Henry Kissinger: „Europeans Hide Behind the Unpopularity of President Bush”, w: Spiegel–online, w: <http://www.spiegel.de/international/world/spiegel-interview-with-henry-kissinger-europeans-hide-behind-the-unpopularity-of-president-bush-a-535964-druck.html> (dostęp 9 III 2014).

² W. Neubauer, B. Rosemann, *Führung, Macht und Vertrauen in Organisationen*, Stuttgart 2006, s. 79.

a „globalizacja to synonim dominacji USA”³. Z podwójnego doświadczenia: polityka i komentatora wydarzeń międzynarodowych, osiemdziesięcioletni Kissinger z intelektualną wirtuozerią stworzył sześciusetstronicowe dzieło, pogrupowane w osiemnastu rozdziałach, o trudno przetłumaczalnym amerykańskim tytule ON CHINA (2011), którego polskie tłumaczenie właśnie się ukazało. Kroczy więc Kissinger w szeregu czołowych intelektualistów epoki obok takich postaci jak Joseph Ratzinger⁴ czy Georg Soros⁵, którzy w adamowym wieku istotnie kształtują opinię elit, i to w wymiarze światowym.

Kissinger prawie pięćdziesiąt razy przyjeżdżał do Chin. Podczas jednej z tych wizyt (1972), okrytej ścisłą tajemnicą, zostały nawiązane dyplomatyczne stosunki między USA a Chinami Mao. On sam był sprężyną napędową wielkiego politycznego otwarcia między dotychczasowym arcywrogami. Jego publikacja to résumé relacji cywilizacji Zachodu z Państwem Środka od końca XVIII w., gdy się izolowało od reszty świata, sąsiadom narzucało trybut, a Zachód traktowało jako barbarzyńską dżunglę, poprzez XIX stulecie, gdy stało się bezwolnym obiektem rywalizacji europejskich mocarstw kolonialnych, aż po jego dzisiejszy powrót do pierwszej ligi *global players*. Właśnie tych ostatnich czterdzieści lat, od owego 1972 r., wraz z okresem od wybuchu wojny koreańskiej, znajduje się w centrum autorskiej analizy. Zawarte w niej wywody krążą wokół *traingular diplomacy* (dyplomatycznego trójkąta), którego wierzchołki: USA, ZSRR i Chiny, zakreślały architekturę światowego porządku.

Autorowi za podstawowe źródło elukubracji służą jego własne rozmowy, jakie podczas negocjacji przeprowadzał z czterema kolejnymi pokoleniami chińskich przywódców: Mao, Deng Xiaopingiem, Jiang Zeminem i Hu Jintao. Ale studium o Chinach to coś więcej niż przenikliwa analiza historyczna *insidera* tych relacji. Wiele tu wprawdzie wątków autobiograficznych, ale i jeszcze więcej propedeutyki chińskiej szkoły politycznego i filozoficznego myślenia konfucjańskiego, pełnych tajemnic chińskiej dyplomacji. A wszystko zwieńczone sugestiami nestora światowej polityki, adresowanymi do obecnego pokolenia polityków, głównie amerykańskich, znajdujących się u władzy. Nie przesadził więc Radosław Sikorski, pointując dzieło Kissingera: „Gigant światowej dyplomacji po raz kolejny pomaga lepiej zrozumieć świat”. Co nie oznacza, że ów „gigant” gdzieś obraz świata zaciemnia. I tak w części historycznej wątpliwości budzą co najmniej dwa elementy: wyjątkowa w dziejach ludzkości cywilizacja chińska w optyce autora uzyskuje monolit skały. Brakuje tu niuansów, pęknięć i zawirowań, jakie Chiny przeżywały na osi czasu w swoim rozwoju, oraz przyjrzenia się ekonomicznym podstawom funkcjonowania kraju.

Przytaczając szczegółowo negocjacje amerykańsko–chińskie, Kissinger tworzy pierwszorzędną bazę źródłową, nieocenioną dla kolejnych generacji historyków czasów najnowszych, którzy nie będą chcieli podzielać jego autorskich sądów. Bo te nie są wolne od subiektywizmu. Kissinger np. świadomie dużym łukiem omija wątek wietnamski, choć jest on kluczowy dla powojennej polityki amerykańskiej administracji wobec Azji⁶. Przemilcza więc amerykańskie naloty bombowe na tzw. Szlak Ho Chi Minha, tajny system tras ko-

³ W. Biermann, A. Klönne, *Globale Spiele. Imperialismus heute — Das letzte Stadium des Kapitalismus?*, Köln 2001, s. 25.

⁴ Zob. J. Ratzinger Pope Benedict XVI, *Jesus of Nazareth*, Interpress 2008.

⁵ Zob. G. Soros, *The New Paradigm for Financial Markets The Credit Crisis of 2008 and What It Means*, New York 2008.

⁶ W drugim swoim monumentalnym dziele *Dyplomacja wojnie w Wietnamie* poświęca jednak cały rozdział, przyjmując teorię domina za własną jako przyczynę amerykańskiej interwencji (s. 724), krytykując jednak tę decyzję za brak kalkulacji, „czy można ustanowić ustrój demokratyczny i jednocześnie odnieść zwycięstwo militarne, oraz — co ważniejsze — jakim kosztem?” (s. 726), w: H. Kissinger, *Dyplomacja*, Warszawa 1996.

munikacyjnych łączących Wietnam Północny z Południowym, którym zaopatrywano siły Wietkongu i Ludowej Armii Wietnamu w czasie wojny w latach 1960–1975. A także swoją rolę jako doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego prezydenta Nixona, któremu przypadło dość niewdzięczne zadanie, by rysującą się na horyzoncie porażkę amerykańskiej interwencji na Półwyspie Indochińskim przekuć na względny sukces, pozwalający Waszyngtonowi zachować twarz. W konsekwencji odnosi się wrażenie, że rosnące napięcie między Moskwą a Pekinem rozgrywa się bez większego związku z wojną w Wietnamie. Tymczasem to widmo porażki USA nakręcało rywalizację Chin–ZSRR o przejęcie wpływów na Półwyspie. Znalazło to spektakularny wyraz w chińskim sabotażu sowieckich dostaw broni do Wietnamu Północnego. Przyczyny porażki w Wietnamie Kissinger upatruje w pacyfizmie amerykańskiego społeczeństwa i aferze Watergate (s. 298), co częściowo jest prawdą. Ale trzecia przyczyna tkwiła w panicznym lęku amerykańskiej administracji przed utratą Wietnamu Południowego. Dlatego, mając ten dylemat, amerykańscy prezydenci dla uspokojenia siebie i swojej polityki wysyłali więc co chwila, sondujące sytuację na froncie walki, inspekcje wojskowe, o których Kissinger milczy.

Za to sporo miejsca poświęca on swoim zabiegom dyplomatycznym, nakierowanym na pozyskanie Chin. Ich motywację do dialogu chińsko–amerykańskiego wyjaśnia jednowymiarowo: obawami Pekinu przed wzrostem potęgi „polarnego niedźwiedzia”, faktycznego zwycięzcy w wojnie w Wietnamie. Pozostawia jakby w cieniu aspekt odprężenia na linii Waszyngton–Moskwa i pogodzenie się USA z faktem, że Europa Środkowo–Wschodnia bezsprzecznie należała do strefy wpływów Kremla.

W jeszcze większym stopniu wywody autora konstytuuje niezwykła atencja dla prezydenta Nixona. Odpiera on ataki jego krytyków, chwali przededefiniowanie polityki zagranicznej USA (s. 223), w tym oczywiście zbliżenie z Chinami (s. 262–282), oraz wystawia najlepsze świadectwo pragmatyzmowi swojego szefa (Nixon „często powtarzał maksymę: Zrobienie czegoś połowicznie kosztuje tyle samo, co zrobienie tego do końca”, s. 224). Atencja dla Nixona bierze się z teologicznego wręcz uwielbienia archetypu polityka rodem z machiawelicznej szkoły politycznego realizmu. Jej prymusi nosili w historii nazwiska Richelieu, Metternich, von Bismarck czy Stalin. Kissinger też należy do tego grona. Wszyscy oni wysoko cenili zakulisową dyplomację, kierowali się w polityce racją stanu kraju, rachuby przeprowadzali na zimno, tak jakby w ich żyłach płynął prąd, nie krew, o demokratyczne utopie wycierając sobie nogi⁷. Możliwe, że w tej kwestii dla *homo politicus* Kissingera, praktyka i analityka w unii personalnej, jego własne doświadczenie adolescencyjne okazało się kluczowe. Gdy miał piętnaście lat, ze względu na swoje żydowskie pochodzenie musiał we frankońskim Fuerth najpierw uciekać przed szykanami niemieckiego motłochu na ulicy, a potem w ogóle brać nogi za pas z III Rzeszy. Wyjaśniałoby to też jego późniejszą fascynację Metternichem, któremu w latach pięćdziesiątych poświęcił swoją pracę doktorską, oraz nie mniejsze zauroczenie autokratą Stalinem. Tworząc listę jego dokonań, Kissinger uwzględnił więc, że „pokonał wewnętrzną opozycję i, kosztem przerażającej liczby ludzkich istnień, poprowadził swój kraj do zwycięstwa nad niemieckim najeźdźcą. Jego przywództwo cechował bezwzględny, cyniczny machiawelizm oparty na brutalnej interpretacji rosyjskiej historii” (s. 126). W przededniu wojny koreańskiej ten „wyniosły i dalekowzroczny mistrz manipulacji, ostrożny, a zarazem prostacki, dążył do geopolitycznych korzyści dla Związku Sowieckiego, przerzucając ryzyko i wysiłek na Chiny” (s. 138).

⁷ Zob. J. Troy, *Die Macht des Realismus in den internationalen Beziehungen*, „Zeitschrift für Politik”, nr 4/2013, s. 414–429.

Jak więc wytrawny historyk–politolog Kissinger wyjaśnia porażkę w wojnie koreańskiej wielkiego stratega? Bynajmniej nie jego strategicznymi założeniami, „które okazały się trafne”, tylko zlekceważeniem Mao Zedonga (s. 157). Bo także jemu Amerykanin wystawia prawdziwy łuk triumfalny. „Dominujący i przytłaczający swoim wpływem, bezlitosny i odległy, poeta i wojownik, prorok i gnębiel, zjednoczył Chiny”, które „stały się jedną z największych potęg” (s. 104). Przewodniczący zdyskontował rywalizację obydwu supermocarstw, USA i ZSRR, stawiając czoło i jednemu i drugiemu. Sukcesy Mao, brutalnie wprowadzającego Chiny na wielką arenę światowej gry interesów, a jego samego do narodowego panteonu, budzą zrozumiały podziw u realpolityka Kissingera. Nic dziwnego, że krwawa „rewolucja kulturalna”, gigantyczna operacja z zakresu inżynierii społecznej, w której Mao utopił stare Chiny, zagłodził na śmierć miliony mieszkańców, figuruje na kartach publikacji bardziej jako przypis. Na usprawiedliwienie Kissingera można przytoczyć argument, że nie tylko on jeden uległ fascynacji Mao. Admiratorów, którzy zwiedzili jego Chiny, świat zachodni wydawał niemal seryjnie. W swojej laurce David Rockefeller, absolwent Harvardu, amerykański „król nafty” a zarazem do spółki ze Zbigniewem Brzezińskim założyciel prestiżowego *think–thanku* Trilateral Commission, dowodził, że przewodniczący „stworzył efektywny system zarządzania krajem oraz ukształtował wysokie jego morale”. Co dokładnie miał na myśli, sprecyzował legendarny dziennikarz amerykański Felix Greene, zaklinając się, że podczas zwiedzania komun w Chinach „nie spotkał się z ani jednym przypadkiem dzieci nieślubnych”. Inny naoczny świadek zaświadczał o sensacyjnej przemianie butnych wcześniej intelektualistów, którzy teraz radośnie bratali się z chłopami, „taszcząc wiadra gnojówki w czasie wolnym od zajęć”⁸.

Jeszcze większym uznaniem darzy Kissinger Zhou En–laia, premiera Chin — absolutnie „najbardziej interesującą postać”, jaką spotkał w swojej sześćdziesięcioletniej karierze politycznej. „Niezastąpiony w roli pośrednika między Mao a narodem, przekuwał jego wizję w konkretne programy”. Jeśli „Mao dominował na każdym spotkaniu, to Zhou Enlai je sobą wypełniał. Pasja Mao przygniatała przeciwnika, Zhou przekonywał go albo wyprowadzał w pole swoim intelektem. Mao był sardoniczny, Zhou — przenikliwy, Mao uważał się za filozofa i chciał zmieniać bieg historii. Zhou wolał zgłębiać jej nurt” (s. 250). To właśnie jemu, roztropnemu, otwartemu i elastycznemu politykowi, będącego wielkim przeciwieństwem egzaltowanego i dogmatycznego Mao, Chiny zawdzięczają, że weszły na drogę modernizacji. Pałeczkę po nim, jak w sztafecie, przejął Deng Xiaoping, nadając marszowi do modernizacji tempo biegu sprinterskiego. Deng, który jak na Chińczyka był brutalnie otwarty i szczery („kiedy studiowałem we Francji, nie nauczyłem się francuskiego” — wyznał bez ogródek Kissingerowi, s. 326), potępił „rewolucję kulturalną”, kampanię przeciwko rodzimym prawicowcom, posadził na ławie oskarżonych „Bandę Czworoga”, a w oparciu o „teorię trzech kroków” zainicjował gospodarczy rozwój kraju⁹. Maoistyczne, brunatne Chiny „rolniczych komun, gospodarczej stagnacji i ludności ubranej w jednakowe marynarki” zamienił na drugą gospodarkę świata, z największymi rezerwami walutowymi, „z licznymi miastami, w których wyrosły drapacze wyższe niż Empire State Building” (s. 324).

W przeciwieństwie jednak do większości historyków i politologów Kissinger napaść komunistycznych Chin na komunistyczny Wietnam w 1979 r. ocenił jako wielki taktyczny sukces Denga. Miałby on polegać na przetestowaniu stanowiska ZSRR wobec chińskiej interwen-

⁸ P. Hollander, *Political Pilgrims: Western Intellectuals in Search of the Good Society*, New York 1981, s. 279.

⁹ Zob. *Review and Prospects 1980–2020*, cz. I: *China's Comprehensive National Strength Keeps Rising*, „China Nachrichten”, 15 IX 2004.

cji w Wietnamie, który z kolei, zaprzyjaźniony z imperium Breżniewa, rozpoczął kampanię przeciwko Czerwonym Khmerom Pol-Pota w Kambodży. W Pekinie chętnie określono to jako „klepięcie tygrysa po zadzie” (s. 342). Kissinger wystawia Dengowi laurkę za przeprowadzenie w przededniu interwencji konsultacji w Waszyngtonie z prezydentem Carterem (s. 366), gdzie się sfotografował z kapeluszem kowbojskim i uzyskał u niego amerykańskie błogosławieństwo dla „karnej ekspedycji przeciwko pacholce Moskwy” — dla Kissingera ważna cezura w relacjach USA–Chiny oraz w zimnej wojnie, skoro wtedy wyszło szydło z worka, że ZSRR jest tylko „papierowym niedźwiedziem polarnym”¹⁰. W jego ujęciu to pragmatyk i wielki wyznawca realizmu politycznego Deng wprowadził Chiny do grona mocarstw, rozstrzygających o polityce światowej. Znacząco zmienił jej współprzędne, przystępując do „milczącego sojuszu” z USA (s. 365), wymierzonego w sowiecką ekspansję w Azji.

Realpolitik, polityczny realizm — twarda, może cyniczna szkoła trzeźwego spojrzenia na grę interesów, bez szkodliwych emocji, tkwi także w zaleceniach, jakie Kissinger serwuje obecnej amerykańskiej administracji a *de facto* całej klasie politycznej w USA, niezwykle skorej do misyjnego eksportu rodzimjej demokracji: a to do Iraku, to do Afganistanu, to do Indii. Tymczasem idealizm i realizm, zdaniem Kissingera, nie wykluczają się wzajemnie. W sztuce polityki tworzą parę jak wodór z tlenem, tyle że w przeciwieństwie do związku chemicznego o tym, która strategia może być skuteczniejsza, decyduje konkretny teatr działań politycznych. Dla Metternicha XX i XXI w. dylematu nie ma: pierwszeństwo należy do *Realpolitik*. Niezwykle plakatywnie głębię swoich preferencji wyjaśnia on bynajmniej nie poprzez naukową analizę, ale uprawiając ekwilibrystykę metaforyczną. Przeciwstawia sobie grę w szachy z chińską grą *weiqi*. O ile w szachach, reprezentujących zachodnią szkołę myślenia, chodzi o zwycięstwo na śmierć i życie, czyli o sytuację zero-jedynkową, gdy króla przeciwnika należy zamatować, by nie miał już żadnego ruchu, o tyle w chińskiej grze za pomocą 180 figur na planszy trzeba pionki rywala otoczyć tak, by samemu nie pozwolić się osaczyć. Definitywnego zwycięzcę trudno więc wskazać. Sukces na planszy jest więc względny (s. 39). Strategia *Weiqi* koresponduje z chińską sztuką wojny autorstwa Sun Zi, liczącą sobie 2 tys. lat. Celem wojskowej strategii nie jest tożsame zwycięstwo, lecz w oparciu o zabiegi polityczne i psychologiczne uzyskanie od samego początku przewagi, co w wielu przypadkach zbrojną konfrontację czyni zbędną. W przełożeniu na język polityki oznacza to po pierwsze: długofalowość strategii, czyli powolne drażnienie skały, jak np. w Tybecie Dalajlamy, gdzie opór buddyjskich autochtonów wobec butnego Pekinu rozvodni się kiedyś pod wpływem demografii. Chińczycy cierpliwie zaludniają Tybet, a autochtonki rodzą mniej dzieci, choć nie obowiązuje je przepis o jednym dziecku. Już teraz Chińczycy stanowią 60 proc. ludności stolicy Tybetu Lhasy, i to pomimo że w tybetańskich klasztorach ku niezmierniej radości turystów z Europy niezmiennie rozbrzmiewa wezwanie do Buddy *om mani padme hom*¹¹. Strategia chińska oznacza, po drugie, relatywizm celów: ani zwycięstwo po walce na śmierć i życie, ani zapewnienie sobie absolutnego bezpieczeństwa. Raczej równowagę w sytuacjach *win-win*. Zachowanie komplementarności interesów. „Stosunki między Chinami a USA nie muszą i nie powinny stać się grą o sumie zerowej” — radzi Kissinger (s. 514). Stąd z wielkim niepokojem dzisiejszy Metternich śledzi poczynania kolejnych „misyjnych” amerykańskich administracji, złożonych z neurotycznych polityków o temperamencie Achillea, które siłą rzeczy już są konfrontowane z długofalowym procesem osaczania USA przez Chiny w walce o dominację w porządku światowym. W tym miejscu wystarczy przypomnieć, że Chiny nie dążą do tego, jak np. Rosjanie, by posiadać 5 tys. rakiet międzykontynentalnych i w ten sposób doprowadzić do pata z USA (*guaranteed*

¹⁰ K. K. Möller, *Die Aussenpolitik der Volksrepublik China*, Wiesbaden 2005, s. 99.

¹¹ P. Scholl-Latour, *Der Weg in den neuen Kalten Krieg*, Berlin 2008, s. 289.

mutual destruction; mutually assured destruction). Samo bowiem wyobrażenie, że zaledwie trzy duże miasta w Kalifornii mogą zostać zniszczone przez chińskie rakiety, paraliżuje amerykańskie marzenia o złamaniu karku Chinom na polu marsowym. Bardziej niż gorąco Kissinger poleca Obamie chiński paradygmat polityki. USA powinny wyzbyć się dręczącego je koszmaru w postaci stale ćwiczonego w Waszyngtonie równania: wzrost znaczenia Chin w rejonie Pacyfiku klóci się z amerykańską racją stanu. Wtedy przestrogi kolegi Kissingera, Samuela Huntingtona, o nieuchronnym konflikcie między cywilizacjami nie nabiorą realnej groźby. Chiny i USA, tak brzmi prorocza teza autora, mogą ze sobą współpracować w ramach Wspólnoty Pacyfiku (s. 518). Geopolityczna stabilizacja wymaga jedynie od obydwu stron akceptacji dla ograniczenia swojego pola manewru i poszanowania Rubikonu, który w wyniku podjętych działań nie będzie się przesuwiał na korzyść jednej ze stron, co w publikacji zostało ujęte jako ko–ewolucja. Czy z tą ofertą ultrarealista porusza się na realistycznym, czy już raczej wizjonerskim gruncie? Odpowiedź przyniesie niedługa przyszłość, o ile sugestia zostanie przejęta przez polityków. W swoim hymnie pochwalnym na cześć chińskiej strategii Kissinger zapomina jednak o tym, że politycy z Pekinu wybierają ją nie dlatego, że wyssali ją z mlekiem matki, tylko że święcie wierzą w to, iż zapewni im ona przewagę.

Dytyramby na cześć realnej siły państwa, ucieleśnionej w szkole sztuki rządzenia politycznego realizmu, a w przypadku Chin do dziś trzymających swoich obywateli na krótkiej smyczy, korespondują z siatką aksjologiczną autora, teoretyka i praktyka polityki. Ignoruje on jednak potęgę drzemającą w samych społeczeństwach, o wiele większą, niż miały ją one w epoce od Rewolucji Francuskiej po Jesień Ludów 1989/1990 w Europie Środkowo–Wschodniej — siły tkwiącej w potencjale Internetu, Facebooka i Twittera. Obecne wrzenie społeczne w Turcji, zamknięte w pojęciu Arabskiej Wiosny, oddolne ruchy, czy ostatnio walki na Ukrainie obnażają słabość myślenia Kissingera, zafiksowanego na sile realnej państwa, szczególnie totalitarnego, jakimi były i jakimi są dzisiejsze Chiny. Państwa, które jak natrętnie muchy odpędza od siebie monity z Zachodu, piętnującego niedostatek demokracji. A inkryminowanie deptania praw człowieka traktuje jako ingerencję w swoje wewnętrzne sprawy. No, ale takich subtelnosci nie można przecież wymagać od Metternicha XX/XXI w., „który obecne trudności wewnętrzne Chin traktuje jak bagatelę”.

Arkadiusz Stempin
Kraków–Freiburg

Arkadiusz Stempin, *Angela Merkel. Cesarzowa Europy*, Warszawa 2014, Wydawnictwo Agora SA, ss. 408, ilustracje, indeks osób

Raczej skutek zbiegu okoliczności niż dzięki szczególnym kompetencjom znalazłem się w gronie osób uczestniczących w popularyzacji książki Arkadiusza Stempina, mało znanego historyka i politologa Uniwersytetu we Freiburgu oraz krakowskiej Wyższej Szkoły Europejskiej im. ks. Józefa Tischnera. Jego nazwiska nie odnalazłem w katalogach największych i najzasobniejszych bibliotek. Ta sytuacja ulega właśnie zmianie. Przede wszystkim za sprawą książki o kanclerz Merkel, ale także dzięki opublikowanej właśnie w Niemczech rozprawie habilitacyjnej, dostępnej także w języku polskim pt. *Niemiecka polityka okupacyjna w Królestwie Kongresowym w latach 1915–1918*. Prof. Stempin jest wykształconym na UJ historykiem, germanistą Uniwersytetu we Freiburgu (1997), a po lekturze książki o kanclerz Merkel można powiedzieć, że kompetentnie się wypowiadającym politologiem. Towarzyszy temu skłonność do analiz o charakterze psychospołecznym — zarówno w odniesieniu do

bohaterki książki, jak i szerszych zbiorowości (narodów, państw). A że z kart książki wyziera talent popularyzatora, swobodnie posługującego się słowem, także dosadnym i w książkach naukowych raczej rzadko spotykanym, można powiedzieć, że mamy do czynienia z opracowaniem przykuwającym uwagę.

Wspomniane wyżej elementy stanowią zarazem pewną trudność przy próbie określenia charakteru książki. Jest ona bowiem po trosze wszystkim, co osadzone jest w dotychczasowej edukacyjnej i naukowej drodze jej autora. Najchętniej ulokowałbym ją w grupie ambitnych opracowań popularnonaukowych, które mogą zadowolić czytelnika, także wybrednego. Od klasycznych monografii, w tym biografii naukowych, książkę dzieli przede wszystkim brak informacji o literaturze, a zwłaszcza źródłach. Autor podczas dyskusji nad książką w Instytucie Historii UAM wyjaśniał, że pewne materiały, udostępnione czy to przez instytucje, czy osoby prywatne, miały pozostać poufne. To jeden z powodów, że w książce dominują źródła pośrednie (wobec wielkiej wstrzemięźliwości „źródłotwórczej” samej p. kanclerz, jej najbliższych i otoczenia), w tym prasa, w której można znaleźć wszystko, co „dusza zapraagnie”. A propos — antykanclerska opinia W. Łysiaka w „Do Rzeczy”, jako reprezentacja polskiej opinii, to dla mnie więcej niż strzał w stopę...

Nie chcę sugerować powierzchowności czy niestaranności autora w posługiwaniu się warsztatem naukowym. W książce jest jednak więcej politologa niż tradycyjnego historyka. Wyziera to zresztą z charakteru pytań, jakie on stawia: jak bojaźliwa doktor fizyki i działaczka komunistycznej młodzieżówki NRD została przywódczynią jednego z kluczowych krajów Zachodu i mężem stanu, czym przewyższa innych w politycznej dżungli, pełnej szakali i hien (s. 11, 12).

Odpowiedzi na te pytania zaowocowały książką pokazującą mechanizmy sprawowania władzy we współczesnych Niemczech z Angelą Merkel jako elementem centralnym. Europy, wyeksponowanej w tytule dzieła, jest niewiele. Mamy raczej do czynienia z „cesarzową w Europie” niż „cesarzową Europy”. Może poza rozdziałem dziesiątym, gdzie ciekawie i kompetentnie przedstawiono jej rolę na forum Eurolandu. Tytuł tej części *Menadżerka unijnego kryzysu* (s. 332–382) jest zarazem najbliższy tradycyjnej biografistyki. Inne tytuły raczej zabiągają o czytelnika i (lub) wskazują na specjalną atencję autora do pewnych dziedzin aktywności p. kanclerz. *Fizyk władzy* (s. 50 i n.) to nie tylko przedstawienie warunków edukacji w ramach studium doktoranckiego, ale ulubiona sekwencja i uzasadnienie dla kilkakrotnego przypominania wyuczonej specjalności jako elementu służącego bieżącej polityce. „Polityk mózgowiec” (s. 53) pojmuje „politykę bez krzty emocji. Jak obserwację zjawisk fizycznych lub jak rozgrywanie partii szachów z ludźmi zamiast pionów i figur” [...] instynkt Merkel wyrasta z mózgu fizyka” (s. 75, 76).

Troska o czytelniczą atrakcyjność, widoczna od pierwszych słów książki (*Spieprzaj, dziwko*), znajduje potwierdzenie w takich tytułach jak np. *Czarna wdowa* („wytwór godny dla męskiej wyobraźni”, s. 254), *Cesarzowa Europy i polscy fryzjerzy* (s. 380 i n.), czy podtytułu *Gdzie kucharzy sześciu...* (s. 200 i n.; dla mnie zawsze było *kucharek sześć*). Zastanawiam się także nad obecnością w książce pewnych wątków, raczej pobocznych, nieraz odległych od biografii jednego z najwybitniejszych i najbardziej znanych współczesnych polityków. To ona została uznana w dwóch minionych latach za najbardziej wpływową kobietę świata (według „Forbesa”), jest też ósmym kanclerzem powojennych Niemiec, zbliżającym się długością rządów do największych: Kohla (szesnaście lat) i Adenauera (czternaście lat). Szanse, że ich „pokona”, są spore, bo „dla kariery jest w stanie zrobić dosłownie wszystko” (s. 155); bez skrupułów pozostawia protektorów w biedzie, a nawet dopuściła się „podwójnego ojco-bójstwa” (s. 158). Za swoiste polityczne credo uznaje hasło „nie boję się niczego” (s. 138). Nieco wcześniej (s. 105) dowiadujemy się, że boi się jednak burzy oraz — „co wiedziały rosyjskie służby specjalne” — psów. Władimir Putin w 2007 r., jako „przewrotny gospodarz”,

położył u stóp p. kanclerz „potężnego labradora” — sukę Koni. Sytuacja miała szczególną wymowę, bo Putin „w chwilach depresji konsultuje z nią polityczne decyzje”.

Mnie takie pisanstwo razi tym mocniej, że zapewne oczekiwane (przez wielu wręcz pożądane) relacje niemiecko–rosyjskie nie są w książce obecne. Tęsknoty tego rodzaju podsycił wydawca, drukując na okładce zdanie Adama Krzemińskiego z „Polityki”, że p. kanclerz ma w swoim gabinecie portret carycy Katarzyny II. W tekście powiedziano mocniej, że „to jedyna rzecz osobista, jaką postawiła w gabinecie” (s. 386). Historyk zwróci uwagę na błąd „tabloidalnej” natury (mało ważnej *de facto*), bo na biurku ma p. kanclerz „zdjęcia rodzinne, pamiątki z podróży zagranicznych, pióro” (s. 191). Nie ma carycy (ani uczennicy Woltera, ani nierządnic), nie ma globusa, który też się przewijał, a teraz zapodział...

W książce, którą czytałem z przyjemnością, zaskoczyło mnie wyodrębnienie osobnego rozdziału poświęconego agenturalnej działalności p. kanclerz. Nietrudno zauważyć, że Stasi jest tu często elementem konstytuującym narrację poświęconą półwiecznej historii NRD. Z niemal połowy książki wyziera obraz smutny, siermiężny, z komputerami, których „pojemność dziś zmieściłaby się w telefonie komórkowym” (s. 62), kiepskim poziomem nauki, pracy i życia, „z podłym, tanim winem” (s. 67).

Dodają: są to lata siedemdziesiąte, w Polsce kojarzone z Gierkiem i otwartą granicą, co umożliwiło handlowe ekspedycje nawet do Berlina. Wyjeżdżały też wycieczki pod egidą polskich organizacji młodzieżowych, zapraszanych przez FDJ, być może i p. Merkel (nazwisko nosi po mężu z czasów studenckich). Przywiązywanie szczególnej wagi do jej działalności, z dylematem, czy była tylko od „kultury”, czy może od „propagandy”, nie wydaje mi się ważne ani godne zajęcia stanowiska, że jest to „wątpliwość nie do rozwiązania” (s. 67). W tej samej tonacji pisze autor o relacjach Stasi–Merkel; była zamieszana w kradzież, chociaż nie ma pewności, czy kradła, czy też ją okradziono. Autor wie, że „bujne spekulacje kwitną”, oraz to, że „nie są one poparte żadnymi dowodami” (s. 88, 91). Historyk zamyka temat, tropiciel–publicysta podąża dalej i konkluduje, że TW Erika jest przyklejona do p. kanclerz „jak numerki do piłkarskiej koszulki” (s. 95). Stwierdzenie tyle warte co wydumana korespondencja p. kanclerz z wybitnym zresztą piłkarzem Schweinsteigerem. Jeśli wymyślił ją dziennikarz — to sprawa gazety i jej czytelników, jeśli dramatopisarz — to wymusza zadumę nad niemiecką literaturą. Pozostają przy niezrozumieniu intencji prof. A. Stempina, który chciał pokazać „wiernie wielką pasję Merkel do piłki nożnej oraz udokumentować dużą popularność kanclerz w niemieckiej popkulturze” (s. 317). Mocne, więc chyba tak miało być...

To wszystko niejako upoważniło mnie do zgłoszenia wątpliwości „nie do rozwiązania”. Chodzi mi o ruch ziomkowski na czele z Eriką Steinbach — posłanką prawego skrzydła CDU i przewodniczącą Bundes der Vertriebenen. Prof. A. Stempin określa ją w tekście per „znany Polakom upiór” (s. 293), niestety, słusznie umieszczając ją w kategorii upiórów. Jednak we wstępie, wynosząc talenty p. kanclerz, zauważa, że odcinała się ona od szefowej Związku Wypędzonych, by „ostatecznie pograżyć ją w politycznym niebycie” (s. 9). Jeśli tak — to przestała się odcinać, a o „politycznym niebycie” najlepiej zapomnieć. Mówił o tym dr hab. Jerzy Kołacki podczas spotkania w Instytucie Historii UAM, który dopiero co wrócił z Jahresempfangs des Bundes der Vertriebenen zorganizowanego przez Katholische Akademie w Berlinie 9 IV 2014 r. Obie panie witały się serdecznie, po przyjacielsku. Atencji do udziału p. kanclerz w spotkaniu Wypędzonych nie skrywało jej biuro. Na stronie Urzędu 4 kwietnia powiadomiono, że p. kanclerz będzie „gościem honorowym tradycyjnego dorocznego przyjęcia”. Erika Steinbach uznała ten gest za „mocny sygnał” świadczący o ścisłym związku wypędzonych z niemiecką historią. Spodziewała się nieformalnych rozmów i wymiany poglądów między politykami, korpusem dyplomatycznym, kościołami, środowiskami artystycznymi i stowarzyszeniami. Oklaskiwana Angela Merkel zaczęła tak: *Sehr geehrte*

Frau Präsidentin, liebe Erika Steinbach. Do tych zwrotów powracała p. kanclerz jeszcze trzykrotnie. Ziomkostwom, mającym korzenie w XIX w., do „niebytu” nadal daleko.

Każdy z wątków podjętych przez autora tej interesującej, a dla mnie też ważnej książki może stanowić przedmiot osobnych studiów, kolejnej publikacji, globalnego ujęcia. Dotyczy to także wątków w założeniu pominiętych, jak zwłaszcza stosunku urzędu kanclerskiego, *de facto* serca najpotężniejszego obecnie państwa w Europie, do innych jego części składowych, kojarzonych z UE, ale i indywidualnie, z konfliktowymi elementami na styku Niemiec z Rosją, Turcją, południem Europy, ale też sąsiadami itd. Biografia kanclerz Merkel to także stosunek do wpływowego i efektywnego lobby militarnego, które jej ojciec — pastor Kasner — krytykował jako „zarabiające krocie” (s. 14), a także obecnie dające 200 mld euro nadwyżki eksportowej w bilansie handlowym. Niemcy epoki Angeli Merkel to także wielkie zmiany w obyczajowości, spory wokół multikulti (problem pominięty), czy spadek zaufania do kościołów. Ten ostatni wątek został dobrze uchwycony i pokazany w książce jako ważny. Ma ona przecież za materię społeczeństwo nadal konserwatywne, które od kilkunastu lat akceptuje przywództwo wybitnego polityka–kobiety już dzisiaj zaliczanej do elity w dziejach.

Stanisław Sierpowski
Poznań